Nr. 6. Poznań, Niedziela 10go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PrzeglądPoznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

O naszych publicznych zadaniach architektonicznych i ich przeprowadzeniu.

I.

Polacy w dzielnicy naszej nie wiele mają sposobności do stawiania podług własnej myśli budynków dla użytku publicznego, gdyż główna część tego rodzaju gmachów należy do rządu, nasyłającego główniejsze projekty z Berlina, lub zależna jest od dyspozycyi gmin, będących pod przeważnym wpływem naszych współobywateli niemieckich. Jedyne pole, stojące jeszcze otworem dla rozwoju naszej czynności w architekturze publicznej, to katolickie budynki kościelne, lub prace architektoniczne, pozostające w styczności z towarzystwami naszemi.

W długim czasie pokoju po wojnie francuzko-niemieckiej, powstało u nas kilka nowych kościołów po wsiach i miasteczkach, gdzie tego okazała się już najniezbędniejsza potrzeba; niczem to wszakże do ruchu, jaki w ostatnich latach rozwinęły w tym kierunku protestanckie wyznania. Wszelkie usiłowania w tym względzie popiera rząd wszechwładnym swym wpływem i wszelkiemi możliwemi środkami, których mu obficie dostarczają fundusze komisyi kolonizacyjnej, a po trosze i protestancki t. zw. Gustav-Adolph-Verein. Ażeby tej gorliwej, tak dla katolicyzmu jak i polskości niebezpiecznej czynności cośkolwiek przeciwstawić, założono u nas przed 5 laty za gorliwem staraniem głównie ks. dziekana Gimzickiego z Wielichory stowarzyszenie błog. Andrzeja Boboli, mające na celu stawianie nowych kościołów i kaplic, tudzież przyozdabianie i naprawę domów bożych, gdzie tego potrzeba. O czynności jednak jakiejkolwiek stowarzyszenia tego prócz kilku notatek o świeżej zmianie zarządu nic się nie dostało do wiadomości publicznej. Żywotności ono przez 5 lat nie okazało żadnej, chociaż spodziewano jej się po ruchliwym na innych polach obecnym prezesie stowarzyszenia. Czyżby ono, u „góry", nie miało być dobrze widzianem? Dziwny to n. p. i nie do wytłomaczenia objaw, jeżeli Zarząd stowarzyszenia nie odbył przez pięć lat może ani pięciu posiedzeń, a po konstytucyjnem nie zwołał dotąd ani jednego walnego zebrania członków.

Przed 9 może laty powstało u nas Towarzystwo Techniczne, które za jedno ze zadań postawiło sobie, służyć publiczności naszej radą w trudniejszych przypadkach na polu technicznem. Po roku przemieniło się ono na Wydział techniczny w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, który okazywał przez trzy lata dosyć żywotności, potem jednak zasnął powoli i mimo prób podjętych do ożywienia go lub wskrzeszenia nie podźwignął się ze swego letargu.

Budowle publiczne Towarzystwa „Pomocy" przed Teatrem Polskim wywołały dziwne na poznańskie stosunki ożywienie pomiędzy architektami naszymi i zajęcie się tą sprawą wśród publiczności. Rozpisano nawet zupełnie prawidłowo w polskich gazetach konkurs z wyznaczeniem odpowiednich nagród. Wynik jego nie był dodatnim, gdyż siły, które w konkursie udział wzięły, nie dorosły postawionemu zadaniu; lepsi zaś architekci z Królestwa i Galicyi wstrzymali się od udziału podobno — jak nam mówiono — dla niestosownego wyboru jurorów. Następnie poruczono opracowanie projektu dwom architektom naszym i ci wywiązali się z najtrudniejszej strony zadania t. j. z wynalezienia odpowiedniego rozkładu i wyzyskania miejsca w zupełnie odpowiedni sposób, tylko nad zewnętrznym wyglądem domów frontowych wywiązał się pomiędzy nimi a „niefachowymi znawcami", będącymi u steru „Pomocy" spór, do rozniecenia którego przyczynił się niemało uproszony o zdanie juror, popierający, zamiast przedłożonego, swój własny projekt na fasadę w innym stylu. Lubo nietylko przeciw tak nietaktownemu wystąpieniu, ale i całemu projektowi jurora odezwały się publicznie poważne głosy rzeczywistych znawców, zdołał on jednak utrzymać wpływ swój przy dokładniejszem przerobieniu projektu, ofiarując „Pomocy" bezpłatnie swe dalsze usługi. Jako apelacyę do opinii publicznej i epilog tego dość zaciętego sporu uważać można w toku budowli wydaną broszurę p. t. „Projekty do domów frontowych przed Teatrem Polskim w Poznaniu przez J. Rakowicza i W. Dylewskiego", przedstawiającą z obszernym dowodowym materyałem niemiły przebieg całej sprawy; cel wszakże broszury, ażeby głównemu frontowi domu przed teatrem samym, póki był czas jeszcze, nadać charakter stylu, opartego więcej na naszych tradycyach narodowych, nie został osiągnięty. Jakkolwiek juror ten przysłużył się „Pomocy", wywołał jednak nietaktownem wystąpieniem swojem w tym razie, przy zresztą uznanej ogólnie powadze, szkodliwe zamięszanie pojęć. Prócz kilku gazet naszych, które przeciwko postępowaniu takiemu w ostrym tonie głos podnosiły, dały i zawodowe czasopisma galicyjskie wyraz tym samym zapatrywaniom. Tylko poczciwy staruszek „Dziennik Poznański", stojący pod wpływem osobistości, którym na zabiciu milczeniem tej całej sprawy wiele zależało, milczał w swej wielkoduszności uporczywie, jakby nie warto było o niej ani słówkiem wspomnieć.

Taki sposób rozwiązania tego jak na poznańskie stosunki większego zadania architektonicznego wywołał wprawdzie wiele rozczarowania i goryczy pomiędzy architektami naszymi, przyniósł wszakże ten dodatni rezultat, że cały spór i załatwienie jego odbyło się *wyłącznie pomiędzy nami*, nadzór nad wykonaniem prowadził Polak i wykonanie budowli pozostało w ręku polskiem. W naszych stosunkach zaliczyć to należy „Pomocy", jako zasługę, iż okazała tyle samowiedzy i godności narodowej, że nad dziełem, mającem przyjść w sukurs teatrowi naszemu, nieprzyjaznych nam żywiołów do współudziału nie dopuściła. Jakkolwiek ze systemem lub stylem fasad nie potrzeba się godzić i to i owo we wykonaniu za chybione uważać należy, z dumą jednak spojrzeć możemy na napis „Naród sobie" w podwórzu naprzeciwko teatru jaśniejący, gdyż naszym pomysłem i naszą pracą ta przyszła podstawa teatru została wzniesioną.

Wobec tego przyjrzyjmy się, co się dzieje w dzielnicy naszej z podobnemi zadaniami architektonicznemi na innych polach życia publicznego.

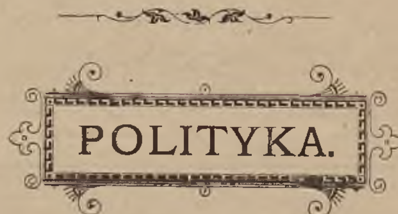
W czasie walki kulturnej zapanował u nas wielki zastój w budowie kościołów. Przez opróżnienie wielu probostw uzbierał się w niejednej parafii fundusz dość spory, który po ukończeniu walki kulturnej pozwoliły odnośne władze zużyć, gdzie się tego okazała potrzeba, na budynki kościelne. Dla tego zapanował zaraz po objęciu rządów w archidyecezyach naszych przez ks. Dindera wielki ruch budowlany, często z uzbieranych funduszów wakansowych, nieraz wszakże i za współudziałem składek publicznych. Ztąd przy obowiązkowych datkach patronów i parafian powstały w ostatniem dziesięcioleciu u nas nowe większe, albo też przebudowane gruntownie kościoły katolickie w Raszkowie, Kopanicy, Pogorzelicy, Samoklęskach, Łaszczynie, Doruchowie, Tucznie, Małym Krzycku, Wysocki, Świecichowie i innych jeszcze miejscowościach. Prócz tego poddano nieomal każdy, w skutek walki kulturnej nieco zaniedbany ko-

ściół restauracyi na większą, lub mniejszą skalę. Ruch ten zwiększył się jeszcze bardziej po wstąpieniu przed trzema laty na tron św. Wojciecha obecnego arcypasterza, Za jego głównie inicyatywą i przy jego osobistym współudziale przystąpiono do rozbudowania seminaryum duchownego w Gnieźnie i do budowy nowego seminaryum duchownego w Poznaniu, zabrano się też do wewnętrznego przyozdobienia obydwóch tumów w Gnieźnie i Poznaniu, wystawiono dwie nowe kanonie przy tumie, dalej zamierzają ze współudziałem rządu budować nowy kościół w Inowrocławiu obok cennej ruiny kościoła P. Maryi tamże, a oprócz tego ze współudziałem składek publicznych nowy kościół w Mądrem, Nowym Tomyślu, na Jeżycach i Św. Łazarzu, wreszcie omawiają w ostatnich miesiącach rozszerzenie kościołka św. Wawrzyńca w Gnieźnie i rozbudowanie kościoła św. Marcina w Poznaniu. Wiadomo jest powszechnie, z jakiem zamiłowaniem zajmuje się ks. arcybiskup Stablewski kościelnemi sprawami budowlanemi, z jaką żarliwością i naciskiem używa nieraz swego poważnego wpływu na organa pojedyńczych parafii, ażeby swoje daleko sięgające pomysły przeprowadzić.

Tem więcej zastanawiają nas praktykowane dotąd w pojedyńczych przypadkach sposoby urzeczywistnienia tych projektów, o ile one czy to przez pisma, czy też ogłoszenia publiczne, albo przez głośne dyskusye na posiedzeniach dozorów kościelnych lub reprezentacyi parafialnych doszły do naszej wiadomości. Wiedząc dobrze, iż tak kapitułom przy obydwóch kościołach naszych katedralnych jak i organom naszym parafialnym przysługuje niezaprzeczone prawo rządzenia oddanemi ich pieczy przybytkami Bożemi z przyzwoleniem władzy duchownej, nie chcielibyśmy bynajmniej wkraczać w ich atrybucye, sądzimy wszakże, iż prasie naszej, nie mającej zresztą w swym gronie pism zawodowych, przysługuje także prawo publicznej dyskusyi nad sprawami ogólnie nasze społeczeństwo obchodzącemi, bo wymagającemi od niego zbyt często ofiar pieniężnych.

Ubogie społeczeństwo nasze, łożące często grosz wdowi na nowe przybytki boże lub dawne zakłady kościelne, powstałe pierwotnie szczodrobliwością przodków naszych, ma prawo domagać się, ażeby szata zewnętrzna tych zabytków, przechodzących do potomności, była wyrazem n a s z e j sztuki budowniczej i przedstawiała charakterystycznie jej stan u nas teraźniejszy. Dawniej, kiedy Polska była samodzielną i na własnych siłach w sztuce budowniczej oprzeć się jeszcze nie mogła, pożyczała dość często u dalej posuniętych sąsiadów sobie architektów i sprowadzała ich ze stron dalekich, jak tego wypiskami archiwalnemi dowodzi n. p. Ehrenberg w niedawno wydanej „Geschichte der Kunst im Gebiete der Provinz Posen“. Wyczytujemy tam, jak w XVI wieku możny pan Andrzej Górka prosi księcia Albrechta pruskiego o przysłanie mu wytrawnego architekta swego, dalej, jak rada miasta Poznania udaje się z podobną prośbą do rad miejskich we Wrocławiu, Lambergu lub Szczecinie o przysłanie architektów do wystawienia różnych budynków publicznych, albo jak „sławna rada Poznańska“ zawiera w polskim języku z Włochem Janem Baptista s Kwadra s Lugana umowę o „przybudowaniu ratusza Poznańskiego“. Inne to jednak były wtedy czasy; różnice narodowe nie występowały tak stanowczo jak teraz, a Polska żyjąc w zgodzie ze sąsiadami, za przysługę od nich doznaną odwzajemniała się przy innej sposobności. Dziś w architekturze panuje u wszystkich, do samodzielności umysłowej poczuwających się narodów, wybitna dążność, ażeby w swój odrębny sposób na tle narodowem wyrażać i przedstawiać swojskie myśli architektoniczne. Ztąd konkursa, jakie ogłaszane bywają na przeróżnego rodzaju budynki publiczne i prywatne, rozpisują się w każdym kraju i języku przeważnie dla w ł a s n y c h architektów, dając im sposobność do okazania swych zdolności i do wykształcenia się dalszego w pewnym kierunku. Rzadko tylko bardzo wyczytać można wiadomość o konkursie internacyonalnym i to chyba przy zadaniach, które obchodzić mogą różne narody porówno, albo też w takich razach, gdzie naród jakiś nie widzi w sobie i pomiędzy swymi sił do sprostania zadaniu. W Niemczech, Francyi lub Anglii zostały międzynarodowe konkursa po zrobionych przy nich doświadczeniach niekorzystnych prawie zupełnie zarzucone, a wszelkie czasopisma zawodowe w innych krajach i narodach wrzawę podniosłyby wielką, gdyby obcokrajowcowi dostać się miało wyjątkowo większe zadanie w udziale; a cożby dopiero gdzieindziej za głos oburzenia podniósł się na taki zarząd instytucyi jakiejkolwiek, gdyby ta, zebrawszy grosz wdowi od swoich, stawiała potem na czele budowli obcego swoim i językiem, a nawet religią, kierownika. Czyż my, mianowicie wobec praw antypolskich i zakusów spółki naszych najserdeczniejszych HKT nie posuwamy się zbyt daleko w tolerancyi, zapraszając do współudziału nad pracami wyłącznie *naszemi* obcych nam językiem i zapatrywaniami, choćby i nie bez zdolności architektów, nie zrobiwszy u swoich ani stanowczej próby, czyby równie dobrze, jeźli nie lepiej, z podobnego zadania się nie wywiązali? Z przyjemnością słuchaliśmy zeszłego roku architektów naszych w Krakowie i Lwowie, jak wskazując na imponujące nieraz dzieła swoje, z samowiedzą napomykali, że to wszystko ich własne pomysły i ich własne wykonanie bez zapożyczania się u obcych; za nie do uwierzenia zaś uważali oni, że u nas tak daleko posuwać można „tolerancyę“ na polu architektonicznem względem obcych nam językiem i religią, iżby ci bez walki i stanowczego oporu z naszej strony, zabierali dla siebie przywództwo i sławę lepszych architektów, a nam pozostawiali robociznę i ochłapy, jakie odpadną przy wykonaniu, do podziału!

Jacz.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„Dziennik Kujawski“ donosi w Nr. 26:

W Bydgoszczy oświadczył się Związek niemiecko-wolnomyślny na ostatniem swojem posiedzeniu bardzo energicznie przeciwko nowemu Związkowi ku ochronie niemieckości na wschodnich kresach. Nowy Związek wywołuje tylko niezgodę pomiędzy Niemcami i Polakami, naraża na straty przemysłowców i kupców, a wskutek wystąpienia tego nowego Związku nienawiść narodowościowa wydała już dziwne owoce. Niemieccy wolnomyślni są dobrymi Niemcami, ale nie pragną żyć z Polakami w niezgodzie — i dla tego trzymać się będą zdala od nowego Związku, ponieważ nie mogą się zapalić do waśni narodowościowej, którą Bismarck na nowo rozpalił we Warcinie.

W sprawie rozwiązanego towarzystwa „Oświata“ w Lipinach pisze korespondent *„Gazety Opolskiej“*:

Jak daleko zaś nienawiść ks. Ronczki ku członkom Towarzystwa sięga, wzdrygam się wspomnieć, mianowicie na owe nieprzyjemności, jakich przez ten czas od niego doznało. Wkrótce po założeniu towarzystwa „Oświata“ wyraził się ks. R.: „Ich muss die polnischen Vereine ausrotten, ich bin der grösste Feind von denselben.“ (Ja muszę te polskie towarzystwa wytępić, bo ja jestem największy ich nieprzyjaciel). Także się wyraził, że ma pieniędzy dosyć, to zapłaci, jeżeli go członkowie towarzystwa „Oświata“ zaskarżą.

Przez godny czas chodził po kolędzie, a jeżeli w którym domu był jaki członek z towarzystwa „Oświata“, to cały dom opuścił, nawet na jednego kupca, który tylko był gościem towarzystwa „Oświaty“ publicznie ks. kapelan Orlinski na drodze wołał: „Do waszego domu nie pójdę, bo ten jest w „Oświecie!““

Dalej mówił ks. R., że to dopiero początek, że będzie pisał do ks. Biskupa, aby ich ukarał...

Gdy ten list kończę, dowiaduję się, że pan pierwszy prokurator zamknięcie tow. „Oświata“ skasował i uznał towarzystwo za prawnie istniejące.

Dodaję jeszcze, że pewna znana polsko-niemiecka

FRANCISZEK RAWITA.

ANDZIA.

NOWELA.

(*Ciąg dalszy.*)

II.

Na sali rzęsiście oświetlonej, już było dużo gości, gdy Janek z Zyziem weszli. Obydwaj ubrani byli w pożyczane fraki, mieli do spółki dwadzieścia pięć groszy — i dobrze im było na świecie. Sunęli wprost środkiem sali, trzymając się pod ramię i rozmawiali wesoło o targach z Aronem i o szczęśliwem ich zakończeniu.

— A wiesz — odezwał się Janek — przydadzą mi się te dwadzieścia pięć groszy, któreś wytargował, bo już teraz czuję, że zjadłbym pół tuzina sardelków.

— Tymczasem smakiem się obądź — uspokajał go Zyzio — a wracając kupimy bułek do herbaty i razem ze Solskim spałaszujemy.

— Zgoda.

Sala wypełniała się coraz więcej i więcej. Na chórach odezwały się strojenia skrzypiec i wiolonczeli. Przez powietrze, pełne hałasu i wrzawy, od czasu do czasu, niby zgrzyt po szkle, przelatywał dźwięk pociągnięcia smyczkiem po skrzypcach lub wiolonczeli, albo wrzaskliwy głos puzonu. Zapowiadało to rychłe rozpoczęcie tańców. Mnóstwo czarnych fraków snuło się śród arlekinów, żydów, cyganów, hiszpanów, śród różnobarwnych strojów masek. Tu i owdzie wyrywały się w powietrzu jak race, krótkie, urywane wyrazy: tańczę, nie, następnego, dziękuję. Szykowały się pary... Nagle zabrzmiał z galeryi sygnał walca. Zdawało się, że gdyby bomba wpadła do sali, nie byłaby w stanie wywołać większego popłochu, wrzawy i ruchu. Wszyscy razem jeden wir wielki wytworzyli, pełen gwaru, szamotania się, biegania, urywanych wykrzykników, potem, jak gdyby skutkiem jakiejś odśrodkowej siły poczęły ku ścianom odpływać fale różnobarwne masek — jeszcze chwila, i sala zagrzmiała dźwiękami skocznego walca.

Koledzy stanęli pod filarem i patrzyli. Nie mieli jeszcze odwagi tańczyć z nieznajomemi maskami.

— Wiesz co — odezwał się Janek — to jednak dość głupia rzecz taniec. Spójrz, co to właściwie jest?

— Zaczynasz filozofować.

— Skakanie, nic więcej. Z pięknа zrobiliśmy igraszkę — ciągnął Janek — to co u Greków było sztuką, u nas stało się ułatwieniem, że... że... że tak powiem najgrzeczniej poznania się młodych ludzi.

— Nudzisz... trzeba było w domu siedzieć.

— Kiedy ja także lubię tańczyć.

— Więc znajdź sobie jaką maskę.... i jazda!

W tej chwili Janek uczuł, że ktoś dotknął się jego ramienia. Obejrzał się — na ramieniu leżał czarny wachlarz, należący do ślicznej ręki, która go trzymała. Dotknięcie to chwilkę trwało tylko, jak złudzenie jakie. Ta sama ręka, która wachlarz położyła, cofnęła go w milczeniu. Była to jakaś zakapturzona Noc smutna, złotemi gwiazdemi zasiana, w towarzystwie jutrzenki, ubranej w blado-różowy zawój. Janek utkwił źrenice w Noc i nic nie mógł dojrzeć oprócz błysków oczu, migających w otworach maski.

Noc odezwała się spokojnie.

— Dobry wieczór poeto... Z parnasu na bal maskowy przychodzisz?

Janek zmieszał się.

— Nie poznajesz mnie?

— Nie znam.

— A... nie znasz? Więc do widzenia... zapamiętam to sobie.

Zrobiła powolny ruch półobrotu, jak gdyby rzeczywiście miała zamiar odejść, lecz wahała się. Jankowi chciało się także rozmowę nawiązać, nachylił się ku niej, woczy się wpatrzył

gazeta, redagowana w duchu schlebiającym rządowi, napisała, że towarzystwa polsko-katolickie, w którym ksiądz nie jest, nie mają prawa polsko-katolickiemi się nazywać.

Takie smalone duby może owa gazeta tylko swoim czytelnikom pisać, którzy w nią wierzą, jak w nieomylność. Świadomy jednak swoich wraw i obowiązków lud może bardzo dobrze odróżnić sprawy świeckie od spraw kościelnych, i wie mianowicie, że dobrze jest wprawdzie, gdy życzliwy ksiądz w towarzystwie jest, ale że z drugiej strony nie jest to niezbędnie potrzebnem. U nas mianowicie na Górnym Śląsku wielu księży ze względów politycznych usuwa się od czysto polskich towarzystw, a czyżby dla tego miały te towarzystwa nie być katolickiemi?!

„Gazeta Grudziądzka“ donosi w Nr. 16:

Obłuda „turnerów“. Niemieccy „turnerzy“ w Chełmnie do tej pory jeszcze założenia polskiego sokoła strawić nie mogą. Na ostatniem ich walnem zebraniu sprawę tę ponownie poruszono, ba, postawiono nawet na porządku dziennym wykluczenie z „ferajnu“ tych członków, którzy przystąpili do „sokoła“. Trzeba jednakże wiedzieć, że ci członkowie już sami się byli wykluczyli, gdy donieśli przewodniczącemu, iż z ferajnu występują, cała ta więc szumna scena wykluczenia tych z ferajnu, którzy sami już wystąpili, była komedyą.

Po urządzeniu tej „szopki“, wyraził przewodniczący ferajnu żal, że przez założenie sokoła spowodowanem zostało rozdwojenie w kołach obywatelstwa miejskiego. (O, wierzymy, że się niemieckim „turnerom“ dotychczasowy „misz-masz“ mógł podobać. Polaczkowie wysługiwali im się, przyczyniając się do uświetnienia ich szwabskich „festów“, za co ich za plecami z pewnością „dumme Polaken“ nazwano).

Rozwodzono się też nad tem, że przecież Polaków nigdy niczem nie obrażono i nigdy nie upośledzano. (No, a obrady, czy toczyły się w języku polskim? A komenda, czy była polska! Nie wiadomo rzeczywiście, czy takie pojmowanie równouprawnienia krańcowej zarozumiałości, czy też takiejże głupocie przypisywać należy?)

Wreszcie zaproponowali też niektórzy z zebranych, aby rozsyłaniem cyrkularzy itd. zachęcić niemieckich współobywateli do wstępowania do ferajnu, ponieważ ściśle łączenie się wszystkich Niemców staje się coraz więcej koniecznością. Ostatecznie nie odmówiono sobie też wygadywania o wybujającej coraz więcej agitacyi polskiej, wobec której należy postarać się o mocny punkt oparcia. Przytaczano też rozmaite niby prawdziwe zajścia na dowód, że Polacy coraz bardziej wyzywająco występują i przy każdej okazyi wszystko co niemieckie ośmieszać się starają. (I cóż jest powodem tego wygadywania! Otóż złość, że Polacy się wreszcie zdobyli na założenie własnego Tow. gimnastycznego. I to ma być dowodem zaczepności Polaków. O wy niewinne baranki niemieckie, a raczej wy wilki obłudne w baranich skórach! Gniew Boży na was!)

„Dziennik Kujawski“ pisze w Nr. 28.

Wyższy nauczyciel gimnazyalny pan dr. Sieniawski przeniesiony zostaje według niemieckich gazet poznańskich z dniem 1-go kwietnia do gimnazyum w Kłodzku.

Zaczyna więc wiać ten wiatr, który całe gromady nauczycieli polskich zagnał przed kilku laty nad Ren. w Sasy, na Śląsk itd.

Pan Sieniawski już powtórnie zniewolony będzie ronić łzy na obczyźnie. Przez kilka lat sechł nad Renem i dopiero niedawno wrócił z tamtąd do kraju. Teraz znów mu się każą wynosić!

„Gazeta Gdańska“ donosi w Nr. 15:

Z pod Poznania donoszą, że dziedzice Niemcy, zapewne spiskowcy K. H. T., nie wypłacają robotnikom myta w pieniądzach lecz w bonach (kwitkach), z któremi muszą chodzić do wskazanych im składów w najbliższem mieście, tam robić zakupna i bonami płacić. Jest to bezprawie. Nikomu nie wolno zmuszać robotników do przyjmowania bonów i kupowania we wskazanych składach. Panowie spiskowcy pragną widocznie zasilać groszami polskich robotników kupców sprowadzonych w celu umorzenia głodem kupców polskich.

W tym samym numerze *„Gazety gdańskiej“* czytamy:

W Grudziądzu nie pominęli „najserdeczniejsi“ nawet takiej sposobności, jak urodziny cesarskie, aby w nas uderzać. Pewien profesor nie wahał się zaszczepiać jad nienawiści w młodych sercach uczniów gimnazyalnych, podbudzając przeciw „kulturze słowiańskiej.“ Jenerał zaś pewien powiedział, iż dopiero Niemcy wydobyli kraj ten z dzikości i że armia jest silną tamą przeciw „zalewowi słowiańskiemu“ (!). Tymczasem faktem jest, że Polacy pierwsi cywilizowali Prusy Zachodnie i że Prusacy bronili się zażarcie przed „kulturą“ niemiecką Krzyżaków, zadawalniając się kulturą polską!

„Kuryer Poznański“ donosi:

Dążności protestanckie. Donosiliśmy niedawno o dziewczęciu Pelikan wychowanem w wierze luterskiej w Nytychu, mimo protestu radzcy sierót W. ks. Bartkowskiego.

Zmuszono dziewczę katolickie wbrew jego woli do pozostania przez cały rok w otoczeniu czysto protestanckiem. Nie ulega wątpliwości, że używano wszelkich sposobów, aby dziewczę od wiary katolickiej odwrócić, katolickie uczucia z serca mu wydrzeć i o ciemnocie i niewierze katolickiego kościoła przekonać! Na jakież męki wystawiono to dziewczę w religii katolickiej wychowane i rozumem rozwinięte, gdy je zmuszono do uczęszczania na naukę protestanckiej religii, do chodzenia do protestanckiego kościoła, do konfirmacyi protestanckiej i wreszcie do przyjęcia komunii z rąk protestanckiego pastora.

Z początku obchodzono się z tem dziewczęciem dosyć łagodnie, lecz niebawem postąpiono inaczej skoro list napisany przez nią do W. ks. Bartkowskiego do Pelplina zwróciła poczta z dopiskiem: „unbestellbar“ — a ten wpadł w ręce przełożonej zakładu! Teraz odcięto wszelką styczność z znajomemi jej osobami i to pod wielką groźbą, bo gdy razu pewnego przyszła do dziewczęcia jego opiekunka, która je przez 13 lat pielęgnowała i spotkała je na ulicy idące do szkoły, zaczęło drżeć ze strachu, prosząc, aby się od niej oddaliła, gdyż to spotkanie narazi ją na wielkie nieprzyjemności i cierpienia. Kobietę zaś tę, pomimo prośby, do zakładu nie wpuszczono. Więc wolno najświętsze węzły targać, byleby tylko dziecko protestantyzmowi zjednać. Zamiar ten nie tajny, bo sam superintendent wydał się z nim, oświadczając, że Marta protestantką zostanie.

Tymczasem dziewczę skończyło 12 stycznia t. r. 14 lat, przez co stała się w relijnym względzie pełnoletnią z prawem wyboru religii według życzenia. Według tego przepisu, protestancki zakład sierót traci prawo zatrzymania jej w swej opiece. Atoli protestancki zakład innego jest zdania. Nietylko że Marty z zakładu nie wypuszcza, ale nawet w swej protestanckiej tolerancyi nie wspomina jej o przynależnem jej prawie. Zdaje się, iż to czyni z troskliwości o duszę dziewczyny, że niedosyć jeszcze w ewangelickiej czystej prawdzie jest utwierdzoną.

Dnia 12 stycznia wysłała jej wychowawczyni Kurzhals człowieka zaufanego do zakładu w Nytychu, aby tenże zobaczył się z dziewczyną, pouczył ją o jej prawie, i aby się zdeklarowała do jakiej religii chce należeć. Dyakonissi jednak nie pozwoliły mu widzieć się z dziewczyną, żądając wprzód pozwolenia na piśmie od superintendenta. Superintendent odmówił pozwolenia, nadmieniając, że jeżeli sprawę będzie sądownie poszukiwał, to przed sądem nic nie wskóra!

Druga nawet wizyta była bez skutku, gdyż list rekomendowany wysłany przez X. Bartkowskiego do M. P. przyszedł napowrót z dopiskiem poczty, że adresat listu nie przyjął. Ta sprawa z listami i pocztą pójdzie przed sąd.

„Orędownik“ pisze w Nr. 28:

Niektórzy księża a lud. Znana jest wszystkim nad wyraz przykra sprawa procesu ks. Arcybiskupa z „Postępem“. Sprawa mogła się zakończyć spokojnie, bez rozgłosu, między stronami na wyrok sądu się powołującemi. Znana niesforność takich organów partyi dworskiej jak „Kuryer“ i „Wielkopolanin“ nie dopuściła do tego. Oba pisma przed wyrokiem rozpoczęły z procesu wybijać kapitał polityczny, po zapadłym wyroku „Kuryer“ wprawdzie nieco chwilowo poskromniał, za to niepoprawny „Wielkopolanin“ wybija kapitał dalej.

....Smutniejsza rzecz, że się znajdują także księża tacy, którzy za przykładem „Wielkopolanina“ i „Kuryera“ wyzyskują tę sprawę w celach politycznych.

Dowód: Do „Wielkopol.“ z dnia 1 lutego piszą z Kępna że tam w Towarzystwie Przemysłowem zawsze znaleźli się tacy, co żądali zaabonowania „Postępu“, aż nareszcie, gdy „Postęp“ rzucił pogłoskę, iż zawiedzą Najprzew. Arcypasterza pracowano w tumie, postanowiono na walnem zebraniu „Postęp“ wyrugować. Dopominał się o to ks. Gońskí, prob. z Słupi. W „Postępie“ skarżono się na zachowanie się ks prob. Gońskiego; korespondencyą tę z „Postępu“ odczytano w Towarzystwie i jak się dowiedzą, kto to pisał, to go wykluczą z Towarzystwa, jeżeli jest członkiem.

Tak pisze i dekretuje „Wielkopolanin.“

Najprzód nie jest prawdą, żeby „Postęp“ pisał wyraźnie, że w tumie pracowano za „wiedzą“ ks. Arcybiskupa, tak tam nie stało; po drugie to bardzo niedobra rzecz śledzić za korespondentami do gazet i grozić im wykluczeniem.

Z Trzemeszna donoszą nam, że tamtejszy ksiądz proboszcz także wpływał na członków Towarzystwa Przemysłowego, aby „Postęp“ z Towarzystwa wyrugować. O ile nas wieści dochodzą tam nie udało się to, a powołano się tam także na znany proces.

....Postanowiliśmy sobie o procesie nie pisać więcej, ale widzimy, że prędzej czy później trzeba będzie tę sprawę zasadniczo rozebrać.

Czytelników naszych w Kępnie upraszamy, aby przyjaciół „Postępu“ dobrze pouczali, jak mają bronić swoich praw i „Postępu“ w obec nacisku ks. proboszcza Gońskiego. Dla Trzemeszna tej zachęty nie potrzeba.

Do „Gońca Wielkopolskiego“ (Nr. 28) donoszą z Gietrzwałdu:

— Poznałem, poznałem... Widzisz... któżby cię mógł w tem przebraniu poznać?

Noc śmiać się zaczęła.

— Teraz wiem, że mię poznałeś — rzekła wesoło — podajże mi rękę.

Janek podał jej ramię, Noc wsunęła rączkę swoją zgrabnie, cicho, i do Jutrzenki się zwróciła.

— Weź moja różowo Jutrzenko w opiekę Zyzia

Zyzio, usłyszawszy swoje imię tak wypowiedziane, jak tylko koledzy wymawiali, zmieszał się trochę, ale rezolutnie podał ramię Jutrzence i zawieruszył się w tłumie masek.

Gdy Janek i Noc znaleźli się razem, Noc znowu nawiązała rozmowę.

— No, teraz możesz mi otwarcie powiedzieć, kto jestem?

Janek próbował zgadnąć, ale to było rzeczą zupełnie niemożebną.

— Stu kolegów twoich widuje mnie codziennie...

— A ja?

— Widziałeś mię dziś.

— W jakiem miejscu?

Zaśmiała się srebrnym, ślicznym głosem, który jak muzyka dźwięczał, potrzęsła główką, aż się jej warkocze cudowne z pod kapturka wychyliły i rzekła wesoło:

— O, tego nie żądaj.

Spojrzeli sobie w oczy i zamyślili się oboje. Po chwilce milczenia Noc rzekła:

— Za nic... za nic!...

Słowa te wyrwały jej się nieuważnie, bez namysłu, bez chęci — wyleciały z duszy same niejako; głos i akcent zdradziły ją, tyle było w tych słowach smutku, goryczy, bólu. Zdawało się, że mówiąc: „za nic... za nic“ — płacz jakiś, wydobywający się z głębi duszy, tłumiła w sobie. Ten dźwięk mowy zastanowił Janka. Wpatrzył się bacznie w jej oczy, jakby chciał z nich prawdę wyczytać i zapytał:

— Dla czego?

Uczuł nagle, że ręka maski drgnęła pod jego ramieniem.

— Za nic... za nic... — powtórzyła tym samym głosem.

— Czy nie zasługuję na to?

Noc nie odpowiedziała bezpośrednio na pytanie.

— Pozwól mi się łudzić... — rzekła.

Brzmiało to trochę tajemniczo, trochę niezrozumiale. Byłby się jeszcze z tem wszystkiem godził, gdyby nie brzmienie głosu, takie smutne, takie bolesne, jakby jaki wielki artytysta płacz imitował. Janek nie był znawcą serc ludzkich, ale miał to czucie młodości, wrażliwe, czyste, które umiało rozpoznać szczerą wesołość i ból szczery — mimowoli powtórzył ostatni wyraz!

— Łudźmy się..

— Łudźmy się... Ach, życie także potrzebuje złudzeń i marzeń bodaj odrobinę, potem...

— A potem? — spytał Janek.

— Czy grasz na skrzypcach?

— Nie.

— Nasuwa mi się porównanie... czasem struna pod naciskiem smyczka pęka... Tak samo bywa...

W tej chwili muzyka zagrała skocznego mazura, a huk puzonów, płacz wiolonczeli, świst fletu przerwały dalszą mowę. Pierwsze tony mazura wydały się im jakimś zgrzytem niemiłym, — mimowoli przeto usunęli się dalej, w głąb sali, pod kolumny.

Janek nachylił się ku masce.

— Czy nie chcesz powiedzieć, że tak samo bywa z sercem ludzkiem.

— Tak jest.

— O, bardzo romantyczne porównanie! — zawołał.

— Tak... — odrzekła — to daleko piękniej brzmi w porównaniu niż w życiu.

Powiedziała to poważnie, spokojnie, ale smutnie.

W tej chwili spotkali się z Jutrzenką, która z Zyziem nader żywą rozmowę prowadziła. Noc uderzyła ją wachlarzem po ramieniu.

— I cóż?

— Okrutnie dyskutujemy... a wy?

— Bawimy się... — zwróciła spojrzenie na

„Przed paru tygodniami zapytywał się był „Goniec“ Warmijaków, czy prawdą jest, jakoby we Warmii usunięto, czy też wyrzucono z mszału i brewiarza modlitwy itp. do św. patronów polskich, a natomiast zastąpiono je modlitwami do patronów niemieckich.

Otóż, o ile zdołałem się dowiedzieć, to X. Krementz, były biskup tutejszej dyecezyi, miał zreformować rzecz tę, niezawodnie w porozumieniu się z Rzymem, i w tym celu usunąć z Brewiarza modlitwy do niektórych Świętych polskich i szwedzkich, a natomiast przyjęto innych.

— *ski.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

Z powodu 30-letniej rocznicy kongresu słowiańskiego w Moskwie, pisze „Il Pensiero Slavo“:

„Wkrótce upłynie 30 lat od ostatniego kongresu słowiańskiego, w ktorym z wyjątkiem Polaków i sympatyzujących z ruchem z roku 1863 Młodoczechów, brali udział wszyscy reprezentanci Słowiańszczyzny. Kongres, jak wiadomo, odbywał się z okazyi wystawy etnograficznej w Moskwie. Mimo to, że kongresowi przypisywano znaczenie demonstracyi politycznej, nie był on skierowany przeciw któremukolwiek państwu, gdyż biorącym w nim udział, zależało tylko na zadzierzgnięciu węzłów moralnych pomiędzy narodami pobratymczymi.

„Uprzytomnijmy sobie ówczesne położenie Słowian. Austrya poniosła klęskę pod Sadową, a na czele rządów stanął hr. Beust. Zaczynał on dalej opierać się Prusom i zdobywać napowrót wpływ Austryi na kraje niemieckie. W tym celu poczynił ustępstwa Madziarom, aby tem lepiej zabezpieczyć panowanie Niemców w Austryi. Beust nie widział w Austryi innych narodowości okrom Madziarów i Niemców; w jednej części monarchii jęczeli Słowianie pod jarzmem madziarskiem, w drugiej pod jarzmem niemieckiem. Mimo to Beust przy końcu życia przekonał się, że polityka jego jest niemożliwą. Madziarzy bowiem, których popierał, zawiedli go, nie zgadzając się na alians Austryi z Francyą przeciw Prusom. Prusy po zwyciężeniu Francyi zjednoczyły Niemcy i Austrya cały swój wpływ na nie straciła bezpowrotnie. Beust przed śmiercią został potępiony przez Madziarów, którym w dniu jednym stworzył królestwo. Jego następca Andrassy doprowadził Austryą do sojuszu z Prusami i Bismarkiem, wrogiem największym hr. Beusta.

„Beust umarł, ale w konsekwencyach żyją jego tradycye i dzisiaj. Trzydzieści lat mija, a Słowianie nie wywalczyli tego, co im się należy.

„Czesi, zniechęceni hegemonią Niemców, opuścili w sposób ostentacyjny sejm czeski w Zagrzebiu wobec bezpośrednio grożącego niebezpieczeństwa połączyli się Słowianie w jedno stronnictwo. W owej chwili sejm chorwacki nie chciał wysłać swych delegatów na sejm peszteński. Madziarzy, otrzymawszy po wojnie z r. 1866 samodzielność, zemścili się na Chorwatach w ten sposób, iż żadnego z swych przyrzeczeń nie dotrzymali.

„Gdy takie panowały stosunki w Austryi, dokonywali Turcy w Hercegowinie, Bośni, Staroserbii okrucieństw najniegodziwszych. Zaproszenie w takiej chwili na kongres słowiański i udział w kongresie Słowian południowych mógł być zaiste uważany jako demonstracya polityczna.

„Goście słowiańscy doznali w Rosyi ze strony ludności entuzyastycznego przyjęcia, co cara wprawiło w zdumienie. Wbrew etykiecie dworskiej i zwyczajom dyplomatycznym gości słowiańskich car powitał. Na kongresie przemawiali Palaski i Rieger. Mowy ich nie mogły być kierowane przeciw Austryi, o pierwszym bowiem wiadomo, iż wyrzekł, że gdyby Austryi nie było, trzebaby ją stworzyć. Drugi mówił z łzami w oczach o solidarności moralnej Słowian, trzymając w ręce wizerunek św. Cyryla i Metodego. Znaczenie polityczne miała przemowa jednego z reprezentantów Serbów. Entuzyazm wzbudził ten ustęp mowy, w którym wzywał Słowian do niesienia czynnej pomocy Serbom i Bułgarom. Pagodin, książę Czerkaski Subotić odpowiedzieli na mowę tę natychmiast.

„Po dziesięciu latach Rosya wypowiedziała Turcyi wojnę. Słowianom bałkańskim lepsze zawitały czasy. Czy atoli zyskała na tem słowiańska idea? Owóż dziś u u nas w Chorwacyi mianem zdrajców ojczyzny piętnuje stronnictwo prawa każdego, kto wyznaje zasady Pagodina i Palackiego! Ci z naszych ziomków, którzy w kongresie udział brali i dziś już nie żyją, z pewnością się nie spodziewali, że ich idee tak wcześnie pogrzebane zostaną. Niestety, prędzej lepiej nie będzie, dopóki Słowianie nie będą Słowianami z mienia lecz z czynu.“

* * *

Chorwacka „*Narodni List*“ pisze o ruchu literackim w Bośni i o nowym illustrowanym tygodniku literackim „Nade“, który wydaje rząd austryacki w Serajewie:

„Rząd zakłada już trzecie pismo chorwackie w Bośni. Najpierw kosztem rządu powstał miesięcznik bośniacko-hercegowińskiego towarzystwa archeologicznego, dalej tygodnik pedagogiczny, obecnie wychodzi pismo beletrystyczne o wyglądzie tak pięknym, żeby się pisma tego Paryż nie powstydził. Redakcya „Nady“ płaci za wiersz drukowany 7 centów autorom, pismo to będzie więc dla literatów serbskich pożądanem miejscem zbytu. Tem więcej się cieszymy, że pismo powstaje w smutnych czasach obecnych. Rozdział na tle politycznem począł oddziaływać ujemnie na literaturę. Pismo bez zabarwienia politycznego będzie nas jednoczyć, literatura spełni więc swoje szczytne zadanie: jednoczenia narodu.“

* * *

Do pisma chorwackiego „*Crvena Hrvtska*“, wychodzącego w Dubrowniku, tak piszą z Banjaluki:

„Madziaryzacya szerzy się u nas, a proteguje ją rząd. Myślałby kto, że my Chorwaci jesteśmy popierani przez rząd na przekór Serbom, ale tak nie jest. Wybudowaliśmy własnym kosztem ratusz, a w dzień cesarskich urodzin wywieszono na nim madziarską chorągiew. Kiedy roku zeszłego powiewała na nim chorągiew chorwacka, wytoczono śledztwo, a nasz żupnik Kotromanowic wytłómaczył się, iż go w domu nie było i jego zastępca zawinił.“

„Smutnie wygląda w naszych zakładach szkólnych preparandach i gimnazyach. Obojętność ludności katolickiej i chorwackiej wobec oświaty jest tak wielka, jak nigdzie bardziej. Nieznaczny tylko poczet jest uczniów chorwackich. Ale temu dziwić się nie można, bo nasze katolickie duchowieństwo wrogo przeciw tym instytucyom występuje. Sam byłem świadkiem, jak pewien ksiądz ofuknął zamożnego wieśniaka, gdy dopytywał się u niego, gdzieby syna w naukę oddać. Dla katolików nie trzeba szkoły („za katolike ne treba szkoła“), tak brzmiała odpowiedź...“

K.

BADANIA NAUKOWE.

Wyprawa Payera
do bieguna Północnego.

Znany podróżnik niemiecki, zamieszkały w Wiedniu, Juliusz Payer, odkrywca t. zw. Kraju Franciszka Józefa, towarzysz ongi sławnego

---

Janka — prawda? — spytała.

Zanim jednak Janek dał odpowiedź, Jutrzenka skinęła ku nim głową, rzekła do widzenia — i w tłumie znikła.

Janek odczuwał, że nastrój wesoły, swawolny, młodzieńczy, z którym na bal przyszedł, począł go opuszczać powoli, a opanowywało go natomiast inne jakieś uczucie — pełne smutku z radością, które mu sprawiało zadowolenie, rozkosz, przyjemność. Odbierał wrażenia harmonijności, melodyjności — zupełnie jak gdyby słyszał muzyki nieznanych mu instrumentów i rytmiczność ich odczuwał wszystkiemi nerwami.

— Zamyśliłeś się? — spytała go maska.

— Istotnie... coś się ze mną stało...

— Ciekawa jestem wiedzieć?

— Odbieram wrażenie innej zupełnie muzyki, niż ta, która na galeryi takty mazura wybębnia.

— A to „echo grało...“

— Czyje?

Rzuciwszy to pytanie, Janek ku zdziwieniu swemu spostrzegł, że Noc go zaczęła interesować. Rozmowa nawiązana niby niechcący, prowadzona niby bez planu i myśli, coś jednak miała w sobie niezwykłego, tchnęła uczuciami i wrażeniami, które go podniecały, ożywiały, a co ważniejsza z pod ciemnego kapturka nocy przepływał do jego duszy smutny i rzewny prąd, który opanowywał go powoli. Dla tej nieznanej osoby, obdarzonej ślicznym, melodyjnym głosem, kształtną figurą, wyrzeźbioną ręką, królewską postawą, uczuwał szczerą sympatyę. Dostroił się do niej, jak się dostrajają do siebie dwa instrumenty muzyczne.

Na pytanie: czyje? Noc nie odpowiedziała wcale. Czy skoczna i hałaśliwa muzyka mazura, czy wrzawa tysiąca głosów, w jeden zmieszanych, przeszkodziła jej? Nie odpowiedziała jednak, ale nagle zwróciła rozmowę na inny zupełnie temat.

— Nad czem pan teraz pracuje? — spytała.

Zastanowił go wyraz „pan“, chętnie omijany na balu maskowym.

— Pan?

Wtem takty mazura urwały się i cała falą wesołych skoczków uderzyła na szeregi spacerujących spokojnie panów i pań. Potrąciła o Noc.

— Zdławią nas.., — rzekła.

— Uciekajmy ztąd.... trzymaj się mocno....

Noc przycisnęła się do jego ramienia tak silnie, że czuł uderzenia jej serca.

— Serce ci bije... zauważył przeciskając się przez tłum.

— Bije... jeszcze...

— Potrącił kto ciebie?

— Nie...

Uczuł, że się przycisnęła do jego ramienia giętkiem, kształtnem swojem ciałem jak piesząca się kotka. Coś się z nim dziwnego stało; doświadczył takiego uczucia, jak gdyby ta kobieta była dla niego czemś więcej niż życie. W tej chwili byłby w ogień za nią skoczył. Dreszcz przebiegł po całem ciele, a pozostało po nim jakieś zadowolenie i wrażenie dumy i siły. Zdawało mu się, że przeciskając się przez tłum pstrokaty, prowadzi pod ramię siostrę lub kochankę. Zaprowadził ją do kozety, w kącie stojącej wśród olbrzymich figusów, tuj, oleandrów — i usiedli. Błogie uczucie zadowolenia opanowało go. Noc, siadając, podała mu rękę, i rzekła słodkim swoim łagodnym głosem:

— Dziękuję.

Usiadła i nie pozwoliła przyjść do głosu Jankowi.

— A więc... nie odpowiedziałeś mi na ostatnie pytanie: nad czem pracujesz?

— Nic nie robię...

— O, nie! Nie jesteś z tych ludzi... nie wierzę.

Rzewność, z jaką te słowa powiedziała, zastanowiły Janka. Zaśmiał się przymuszonym śmiechem, suchym, bezdźwięcznym, ażeby pokryć uczucia i wrażenia, które nim miotały.

— Nie wierzę.... — powtórzył — dla czego?

— Czytałam twój poemacik „Zwycięstwo“.

Janek chciał wszystko w żart obrócić.

— Winszuję.,. dziwię się twojej cierpliwości

Weyprechta, w pierwszych dniach bieżącego roku podniósł w prasie myśl wyzyskania podbiegunowych okolic, wyłącznie dla celów artystycznych i uzasadnił ją w sposób tak energiczny i porywający, że wszelki pesymizm co do możliwości jej przeprowadzenia zamilknąć musiał. Zdaniem Payera świat podbiegunowy, przedstawiony powszechnie jako smutna, martwa ponura kraina wiecznego lodu i śniegu, w rzeczywistości wygląda inaczej, obfituje w istne skarby światła i barw, a zwłaszcza wybrzeża północno-wschodniej Grenlandyi, powetowałyby sowicie trudy podobnej wyprawy. Śmiały podróżnik zamierza więc wybrać się na specyalnie w tym celu zbudowanym parowcu o sile dwustu koni, z załogą dalmatyńskich majtków, pod wodzą trzech oficerów marynarki. Oprócz techników, maszynistów, preparatorów i strzelców projektodawca, jako kierownik ekspedycyi, chce zabrać z sobą dwóch pejzażystów, jednego malarza zwierząt i fotografa, gdyż w pierwszej linii celem dalekiej podróży ma być zdejmowanie widoków i odtwarzanie przyrody tych nieznanych krain. W drugim rzędzie dopiero i o ileby wyprawa przekroczyła 77-my stopień północnej szerokości, służyłaby zarazem badaniom naukowym. Jeżeli wykonaniu projektu nie staną w drodze nieprzewidziane przeszkody, to wspomniany parowiec wyjedzie z portu bremeńskiego w czerwcu 1896 r. Wyprawa ma potrwać od jednego do dwóch lat. Pod 64-ym stopniem szerokości rozpoczęłyby się właściwe studya malarskie, które prowadzone być mają w dalszym ciągu podróży aż do jej kresu, jakiego dziś jeszcze sam autor pomysłu oznaczyć nie potrafi. Payer, który sam zna dobrze odległą północ, gdyż trzy razy już w życiu sport takich wypraw uprawiał, zapewnia, że kto, jak kto, ale pejzażyści szczególnie przywiozą z tej podróży zupełnie nowe, nieznane dotąd wrażenia, które sztuce malarskiej odmienne wskażą tory i nawskroś oryginalną cechę nadadzą.

Pierwsza moja wyprawa do bieguna Północnego — mówi Payer — a w szczególności do tych stron Grenlandyi, które tym razem dla mnie będą „podstawą operacyjną“, pod kierownictwem sławnego geografa Petermanna, trwała półtora roku. Starałem się zbadać Grenlandyę dokładnie i szczegółowo. Dotarliśmy wtedy do 77 stopnia a dalej na północ, od owego czasu nikomu jeszcze dostać się nie udało. Na kartach widzimy wprawdzie wybrzeża zarysowane wyżej ku północy i oznaczone nazwiskiem Lamberta, jako tego, który je rzekomo miał odkryć, ale to zwyczajny myt, bajka, którą każda nowa mapa powtarza... Wschodnia Grenlandya odznacza się wspaniałą i niemal bujną wegetacyą wiosenną, posiada około 400 gatunków roślin kwitnących, trawę na łokieć czasem wysoką, wogóle przedstawia się dla malarzy, jako kraj niezwykle ponętny i wprost sprzeczny z dotychczasowemi opisami... Coprawda, klimatyczne warunki tamtejsze nie bardzo się uśmiechają i potrzeba niezwykłego umiłowania przyrody obok żelaznej woli, aby w Grenlandyi wschodniej chcieć malować, rysować, lub szkice sporządzać. Przyznaje to sam Payer, opowiada jednak, że pracował nieraz przez 4 godziny bez przerwy przy temperaturze 40—50 stopni niżej zera. „Nie przeczę, że aby znieść tego rodzaju „nieprzyjemności“, uzbroić się trzeba w nieugiętą wolę. Nieraz już było tego za wiele nawet psom moim, które mi zawsze wiernie przy studyach towarzyszyły. Poczciwe stworzenia, gdym nie chciał zrozumieć, czego żądają, uderzały mnie tak długo łapami, dopóki nie uczyniłem im wreszcie zadość i nie zawróciłem do „domu“. Jeszcze większego poświęcenia wymaga robienie pomiarów przy pomocy metalowych przyrządów, których poprostu dotknąć się nie można, bez gwałtownego, dojmującego bólu. A gdy przy panujących mrozach zerwą się wichry i mrozy, wtedy już nadludzkiej potrzeba wytrwałości, aby wyjść z nich zwycięzko...

Tem wszystkiem Payer ani na chwilę się nie zraża i jest silnie przekonany, że śmiałe przedsięwzięcie w zupełności mu się powiedzie. Wierzy w swą szczęśliwą gwiazdę. „W bitwie pod Custozzą mogłem być pewny, że mnie kula nie minie, a przecież wyszedłem cało... W roku 1868, gdym zdejmował grupę Ortlerską, spadłem razu pewnego z wysokości siedmiuset stóp z lodowca i nic mi się nie stało. Wówczas powiedziałem sobie, że koniec mój jeszcze daleki. A jakim niebezpieczeństwom uchodziłem już w moich biegunowych wyprawach!“

Awanturniczy duch, idący w służbę dla wyższych, szlachetnych celów, dla myśli swej zjednał od razu, jak najsympatyczniejszą opinię. Payer, sam niedość zamożny, aby zebrać odpowiednie fundusze, postanowił propagować swój projekt we wszystkich sferach, w towarzystwach naukowych, większych miastach, wszędzie, gdzie się tylko da. Nie można wątpić, że niezmordowana ruchliwość uwieńczy jego starania pomyślnym skutkiem. Nieznajomy jakiś mecenas podbiegunowego malarstwa ofiarował już, jak doniosły dzienniki, wcale poważną, jak na początek sumę 10,000 złr. Zapowiedź to w każdym razie niezła, gdyż daje rękojmię, że plan nowej wyprawy do bieguna Północnego nie rozwija się w mglistych marzeniach.

Dodam w końcu, iż Payer znany jest publiczności warszawskiej ze swych doskonałych widoków podbiegunowych, które, wystawione w Salonie Krywulta, słuszne budziły zajęcie.

Rozpisałem się szerzej nieco o tej ekspedycyi, bo przypuszczam — kto wie? — że i wśród naszych rodaków znajdzie się może amator, któryby się chciał do tej wyprawy przyłączyć.

Snop.



CONDORCET

um. 1794.

I.

W galeryi wielkich, a w części i nieśmiertelnych typów, jakie na polu teoryi i praktyki wydała Francya w drugiem pięćdziesięcioleciu XVIII w., Condorcet*) zajmuje stanowisko na wskroś odrębne, a wybitne. Budzi ciekawość nie tylko badacza i historyka, ale i estetyka, zajmuje nie tylko jako człowiek, który żył i działał, służył ideałom i cierpiał, ale i „jako taki“, jako typ ludzki, jako problemat „psychologiczny“, matematyk, ekonomista i publicysta; zwiastun gminowładztwa, autor reform w wychowaniu publicznem oraz konstytucyi 1793 r.: wreszcie twórca nauki, która głębiej, niż teorya Vico chwyta zagadnienia z dziejów kultury ludzkiej — takie oto niezmierzone koło zataczała myśl wielkiego męczennika, którego rocznicę śmierci stuletnią obchodziła Francya w roku ubiegłym.

Z pochodzenia należał Condorcet do starej szlachty i dzięki temu otrzymał wychowanie u Jezuitów. Nie obiera atoli zwykłej drogi swych towarzyszów i nie szuka szczęścia w służbie wojskowej albo w urzędach teologicznych, ale idzie prosto przed siebie, ku szkołom nauki. Już w 22 roku życia ogłasza pierwszą swą pracę z dziedziny wyższej matematyki. W kilka lat później sława jego jako uczonego staje się tak wielką, że Akademia mianuje go swym sekretarzem. W tym charakterze Condorcet musiał w przeciągu 17 lat wygłosić 61 charakterystyk najróżnorodniejszych pisarzy i uczonych: fizyków, botaników, ekonomistów. Rzecz jasna, że wiedza jego wskutek tego powiększyła się olbrzymio, umysł nabrał sprężystości i wykształcił się pod względem me-

---

Ona zamilkła na chwilę, i tak siedzieli milcząc, wsłuchani w hałas i w rozmowy tańczących, w chaos tonów; siedzieli niby pomieszani, niby poważnieni ze sobą kochankowie, którzy przez chwilę odwracają się w dwie przeciwne strony i dąsają się, ażeby tem namiętniej rzucić się potem w objęcia.

Noc odezwała się znowu.

— Bohaterów swoich obdarzyłeś taką wolą silną, taką energią, że...

Zatrzymała się, jak gdyby wyrazu odpowiedniego szukała.

— Że?... Ciekawy jestem końca.

— Że taką wolę i taką energię poeta we własnej duszy chować musi, ażeby tchnąć ją w bohaterów. — Spojrzała na niego i spytała: — Czy nie prawda?

— Może prawda.

Noc ciągnęła dalej:

— Wszystko zmarnować można; woli i energii nigdy! Ona przejdzie w czyny ludzkie, w pracę i tam ją, kto zechce, odszuka. Ty jesteś bardzo bogaty...

Jankowi mąciło się w głowie, słuchając tego wszystkiego.

— Cóż mi u licha jest? — myślał. — Czuję, że serce żywiej i mocniej uderza, że ta kobieta działa na mnie, jakbym był pod wpływem jej czarów i uroków... No, nie zakochałem się przecież jak żak szkolny w ciągu godziny?

Zamiast odpowiedzieć samemu sobie na to pytanie — zamilkł. Niechcący i bezwiednie poczęło się wytwarzać położenie dziwne, niejasne, niezdecydowane, nie mające nic wspólnego z pierwotnemi zamiarami tańczenia i bawienia się. Patrzyli oboje na salę balową oświetloną, ożywioną rozbawionemi tłumami, drgającą promieniami świateł i dźwięków. Milczenie to przerwała Noc.

— O czem teraz myślisz? — spytała.

— O sobie.

— I... o mnie — dodała — prawda?

— Tak jest.

— Widzisz... będziesz miał przynajmniej kilka świeżych i nowych wrażeń z tego balu... Dowiedziałeś się, że jesteś bogatym...

Mowa o bogactwie wywołała w nim uczucie głodu, który nagle uczuł, stłumił je w sobie jednak.

— Chcesz wiedzieć co o mnie myślisz? — spytała Noc.

— I owszem... ciekawy jestem...

— Myślisz, że tego, co odemnie słyszałeś, nikt ci jeszcze w życiu nie mówił.

Nie czekała odpowiedzi, tylko sama do siebie rzekła:

— Ach, jak gorąco!... Nieprawdaż?

— Istotnie.

Noc położyła wachlarz i szybkiemi nerwowemi ruchami poczęła rękawiczki ściągać; ściągnęła i na wachlarz rzuciła. Janek spojrzał na jej ręce białe, kształtne, alabastrowe, jak gdyby skopiowane z jakiegoś greckiego modelu.

— Prawda, że zgadłam? Nie przeczuwałeś, że na balu maskowym możesz spotkać kobietę...

— Jaką?

— Dziwną co najmniej.

— Bardzo dziwną...

Położyła swoją rękę na jego ręku i rzekła cichym głosem:

Dotknięcie jej ręki zelektryzowało go.

— Zaciekawiasz mnie.

— Dlatego, że jestem w masce...

Nagle podniosła rękę i skinęła nią w powietrzu ku sali.

— Patrz... widzisz?... kolega twój tańczy z Jutrzenką.

— Chcesz tańczyć? Zawołam Zyzia...

— O, nie! wolę z tobą rozmawiać.

— Kiedy jesteś zbyt tajemnicza.

— Tem lepiej dla ciebie i dla mnie, mamy chwileczkę złudzenia.

— Ach, już drugi raz mi o złudzeniu mówisz!

Ona zaśmiała się swoim smutnym, srebrnym głosem i rzekła:

— Bawisz się, widzę...

(Dokończenie nastąpi.)

todycznym niezwykle. Czas sam skierował jego myśli na pole ekonomicznych zagadnień. Nie teoryzując wiele i nie próbując być oryginalnym, starał się zasadę fizjokratów popularyzować na gruncie kwestyi bieżących. W r. 1775 wychodzą jego „Listy rólnika pikardzkiego do do protekcjonisty“, w których zbija Nekkera i broni wolnego handlu zboża. W tymże roku wydaje swoją znakomitą pracę o monopolu i monopoliach, prawdziwe arcydzieło polemiki, a w kilka miesięcy później żąda („Rozmyślania o pańszczyźnie“) wykupu wszystkich praw feodałów na ziemię w drodze umowy dobrowolnej z włościanami.

Następny rok przynosi najważniejszą jego pracę ekonomiczną o „Handlu zbożem“, w której najlepiej ogniskują się jego poglądy ekonomiczne — stanowiące nie więcej i nie mniej. jeno silny oddźwięk z teoryi fizjokratów. Nie zasługują one na to, ażebyśmy zatrzymywali się nad nimi dłużej, gdy chodzi nam tylko o podkreślenie głównych rysów fizjonomii Condorceta-myśliciela. Jedną tylko uczynimy uwagę. Condorcet był największym przedstawicielem fizjokratyzmu w dobie konwentu. Nie opuszczał żadnej sposobności, przy której można było popularyzować poglądy, w które uwierzył. A przytem — rys odbijający niezwykłem światłem tę postać od ogólnego tła naśladowców w nauce — jest dla niego coś wyższego nad dogmat nauki: dobro narodu. Aczkolwiek więc stał na stanowisku swobody ekonomicznej (laissez faire, laisser passer), nie wahał się ogłosić obowiązku państwa dostarczania pracy biednym. Wobec takiego ustroju i nastroju myśli postać Condorceta zdaje nam się promienieć światłem raczej naszego, niż zeszłego stulecia.

Condorcet nie był filozofem z zawodu. Nie pisał nic z zakresu czystej metafizyki. Na podstawie innych jego prac można dopiero odtworzyć jego poglądy na zadania filozofii. Szczerze nienawidzi wszystkich gasicieli wiedzy. Zgadza się z Wolterem, że „im ludzie więcej będą myśleć, tem mniej będą nieszczęśliwymi“. Źródło sprawiedliwości znajduje w bólu, jaki nam sprawia widok cierpienia bliźnich naszych. „Dobro ludzkości, owa najważniejsza troska serc szlachetnych wymaga wolności sądu i sumienia, gdyż tu tylko wolność może ugruntować braterstwo ludzi“. Condorcet dowodzi w dalszym ciągu, iż tolerancya jest konieczną ze względu na trwałość rządu; ona jedynie tylko znosi możliwość zaburzeń wewnętrznych, gdyż uchyla w zasadzie wszelki powód ich powstania. Poglądy polityczne Condorceta z wielu względów zasługują na bliższe rozpatrzenie. „Mogę się tylko pogodzić z konstytucyą opartą na zasadach równości praw człowieka“ — pisał jeszcze w r. 1787. Z tego powodu żądał równouprawnienia kobiety. Dla czego — pyta — nie ma kobieta korzystać z praw politycznych? Dla czego jej ciąża ma jej stać na przeszkodzie ku temu, wtedy, gdy podagra nie szkodzi mężczyźnie pod tym względem. Jeżeli zgodzimy się nawet, że wyższość mężczyzny nie zależy tylko od wykształcenia — co jeszcze daleko nie jest dowiedzionem — to jednak przyznać należy, że ta wyższość objawia się w dwuch tylko kierunkach. Kobiety nie wydały dotąd geniuszów w nauce, literaturze, sztuce. Albożtylko geniusze posiadać mają prawa polityczne? Mówią dalej, że kobiety nie posiadają tyle, co mężczyzni rozumu. Jeżeli z szeregów męzkich wykluczymy niewielką ilość wyjątków wybitnych, to reszta będzie pod względem umysłowym równą kobiecym zdolnościom. Na to się zgodzi każdy, w liczbie zaś wyjątków czyż nie znajdziemy Elżbiety angielskiej, Maryi Teresy, Katarzyny II? Prawda, że interesy kobiety różnią się od naszych; znaczy to to tylko, że w postępowaniu swem mogą się kierować innemi, niż my zasadami. Większą część różnic, jakie istnieją między płciami, stworzyło wychowanie, szkoła, otoczenie. Mówią jeszcze, że uprawnienie polityczne kobiet zwiększa ich wpływ na mężczyzn. Któż atoli zaprzeczy, że wpływ bywa gorszym, jeżeli działa w ukryciu.

Charakterystyka Condorceta byłaby żadną poprostu, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na jego zalety, jako człowieka. Trudnoby przyszło nam zrozumieć inaczej przyczyny, które kazały matematykowi zwrócić się od abstrakcyi do rzeczywistego życia. Jak zwykle, tak i tutaj przechowały nam najwięcej materyału kobiety. Żona jego przyjaciela akademika Suarda oraz panna Lespinasse, nazwana „Muzą Encyklopedyi“ — świadczą zgodnie, że naczelną jego cnotą była dobroć. „Natura obdarzyła go wielkim rozumem, znakomitym talentem, gorącą duszą. Talent sam jeden uczyniłby go znakomitym, ale piękna dusza jego zdobyła mu przyjaciół w osobie wszystkich, którzy go bliżej znali. Nie tylko kobiety, ale nawet sam złośliwy Grimm nazwał go „dobrym Condorcet“. W r. 1772 zazdrości on Turgotowi, że ten „uczynić może zadosyć namiętności swej dla dobra powszechnego. Takie zadowolenie stawiam wyżej nad samą jedną tylko naukę.“ Święty ogień służby społecznej, który gorzał zawsze w sercu jego, nie pozwalał mu myśleć o osobistych interesach. Kiedy Turgot zamierzał powołać go na dobrze płatne stanowisko inspektora mennicy, Condorcet odmówił. Darmo wraz z d'Alembertem pełnił obowiązki radzcy ministeryum morskiego i przeszedł następnie wraz z Turgotem do ministeryum finansów. Tutaj zadawalała go skromna posada zarządzającego komitetem zrównania miar i wag. Rezultatem jego pracy był przyjęty przez konstytucyę system dziesiętny, system, na rzecz którego Condorcet agitował sam za granicą. Pisał w tym względzie n. p. do Stanisława Augusta. Kiedy został powołany do korpusu prawodawczego, uważał za słuszne złożyć z siebie wszystkie poprzednie obowiązki. Jako mówca nie czynił wrażenia. Rzadko widziano go na trybunie. Natomiast w literaturze pamfletowej — która się wtedy zaczynała rozwijać — i w dziennikarstwie walczył zawzięcie i znakomicie o ideały swoje. Pracował początkowo w „Journal de Paris“, a następnie we własnej „Bibliotece działacza publicznego“. Tutaj drukuje szereg kompilacyi: z Arystatelesa, Machiawella, Bodina, Bacona. Adama Smitha. Tutaj wyszły jego cztery memoryały o wychowaniu narodowem — podwalina jego późniejszej sławy. Zakłada pierwszą gazetę republikańską, która atoli nie liczyła swego życia na lata. Condorcet był także profesorem. „Liceum“, założone na kilka lat przed w. rewolucyą, liczyło go w szeregu swych nauczycieli. „Liceum“ to może się nazywać kolebką socyologii, tutaj bowiem nie tylko wykładał Condorcet, ale i A. Comte (liceum zostało zamknięte w r. 1848). W pracach, które zawdzięczamy jego profesorskiej działalności, jak również i w mowach akademickich, o których mówiliśmy już wyżej — odnaleźć możemy pierwsze zawiązki jego znakomitej próby zbudowania dziejów cywilizacyi, albo według słów Comte'a — dynamiki społecznej. I tak n. p. w mowie wypowiedzianej w r. 1782 słyszymy: „każde odkrycie naukowe jest dobrodziejstwem dla ludzkości. W szeregu wielkich tryumfów nauki w XVIII w: i to zajmuje miejsce wybitne, że nauki społeczne z każdym dniem stają się równe co do ścisłości naukom fizycznym. Oparte na spostrzeganiu faktów muszą posiłkować się tą samą metodą i zdobyć tę samą ścisłość terminologii“. Condorcet słusznie czyni uwagę, dla czego rozwój nauk spo-

---

„POWIESIĆ GO“ *)

Tłum. **Cz. N.**

„Było to w roku 1805, krótko przed bitwą pod Austerlitz“, zaczął mój stary przyjaciel. Pułk, przy którym służyłem, stał w Morawii. Surowo było nam zakazane mieszkańców uciskać. Lubo byliśmy ich sprzymierzeńcami, spoglądali na nas krzywem okiem.

Miałem bursza, byłego służącego mojej matki, nazwiskiem Igor. Był to poczciwy i cichy człowiek. Znałem go od dziecka i uważałem go za przyjaciela.

W tem pewnego dnia powstał w domu, w którym mieszkałem, głośny krzyk i lament. Ukradziono gospodyni dwie kury, a ona posądziła o to mojego bursza. Przeczył temu i odwoływał się na mnie. On, złodziejem! On, Igor Awtamanow! Zapewniam ją uroczyście, że Igor jest poczciwym człowiekiem, ale ona o tem słyszeć nie chciała.

Wtem nagle dał się słyszeć na ulicy głośny stuk kopyt: był to jenerał kymenderujący, który ze sztabem swoim przejeżdżał. Jechał stępo, szeroko, butnie, niedbale; epolety zwieszały mu się na piersi.

Gospodyni zauważyła go i rzucając się naprzeciw jeźdźcowi, chwyciła za strzemię, padła na kolana i z rozpuszczonemi włosami zaczęła ubolewać, równocześnie wskazując ręką na mojego bursza. „Jenerale!“ jęczała, „Ekscelencyo! wymierz sprawiedliwość, broń nas, ocal nas! Ten żołnierz obrabował mnie:“

Igor stał na progu, wyprężony jak struna, z piersią naprzód, noga przy nodze, z czapką w ręku i — żadne słowo!

Czy go zmieszał widok tych oficerów sztabu, którzy przystanęli na środku ulicy? Czy już skamieniał z powodu nadejścia nieszczęścia, które nań jak piorun z nieba uderzyć miało. Stał prosto jak świeca, mój Igor, z drgającemi powiekami, blady, jak płótno.

Jenerał przelotnie rzuciwszy nań roztargnione spojrzenie, w którem się objawiała jakaś ponurość, odmruknął chrapliwie: „No cóż?“

Igor stał wciąż jeszcze nieporuszony i pokazywał głupkowato zęby; spoglądając nań z boku, zdawało się, że ten chłop — się śmieje!

Na to jenerał wyrzekł bez namysłu: „Powiesić go!“ Spiąwszy ostrogami konia, pojechał dalej, z początku stępo, potem pospiesznym kłusem. Cały sztab w mgnieniu oka tuż za nim podążył, tylko jeden adjutant odwrócił się na siodle, przelotne rzuciwszy wejrzenie na Igora.

Niepodobna odmówić posłuszeństwa. Porwano Igora, aby go ukarać.

Zbladł jak wosk, zawołał dwa razy szukając słów: „ojczulku — kochany, dobry ojczulku:“... i szeptał: „Na Boga, to nie byłem ja!“

Płakał rzewnie i pożegnał się ze mną. Ja zaś byłem w rozpaczy.

„Igorze, Igorze, dla czegoś do jenerała nic nie mówił?“

„Na Boga, to nie byłem ja!“ powtórzył ze łkaniem nieszczęśliwy.

Gospodyni nawet ze strachu zdrętwiała. Niestety — tak groźnego nakazu nie spodziewała się. Teraz przyszła na nią kolej płakać i ubolewać.

Każdemu z nas przysięgała nieszczęsnego ocalić; oświadczyła, iż kury jej się znalazły, iż chce wszystko wyjaśnić.

Oczywiście, to wszystko nic już nie pomogło. Prawo wojenne, — karność, panie!... Gospodyni przeraźliwie płakała i łkała, że i kamienie by poruszyła.

Igor, którego pop pośpiesznie spowiedził wysłuchał, zwrócił się do mnie i rzekł:

„Powiedz jej Wasza Miłość, iżby tak nie rozpaczała... ja już jej przebaczyłem!“

Mój przyjaciel powtórzył te ostatnie słowa swojego bursza szepcąc: „Mój kochany Igorze mój gołąbeczku, — ty poczciwcze!“ I łza za łzą płynęła po jego starych licach...

---

*) Nowelkę tę osnutą na podstawie słów Iwana Turgieniewa umieścił niedawno A. G. Suttner w czasopiśmie „Die Waffen nieder“. umiejętnie redagowanem przez żonę jego Berthę Suttner. autorkę sensacyjnego w swoim czasie romansu „Die Waffen nieder“.

łecznych postępuje wolniej, niż w naukach fizycznych. Jakkolwiek bowiem punktem wyjścia w obu szeregach są spostrzeżenia, to jednak zawdzięczamy takowe osobom, które czynią je subjektywnie. Są to wszystko twierdzenia, któreby podpisał pozytywizm nowego stulecia. Celem nauk społecznych jest według Condorceta szczęście człowieka. Z racyi tego protestuje on przeciwko pessymistycznym poglądom Russa na wpływ nauk. Condorcet wskazuje na to, że wojny stały się rzadsze i mniej krwawe, że prześladowania religijne ustały, stały się mniej silne. „Amerykanie, zrywając własne kajdany, wskazali na konieczność zdjęcia takowych z rąk ich niewolników. Oni pierwsi uznali wszystkich obywateli swego państwa za równych w obliczu prawa. Okrzyk królowej portugalskiej, że w jej państwie nie będą się więcej rodzić niewolnicy, zdaje się być zwiastunem tej chwili, kiedy przeżytki barbarzyńskiej polityki XVI stulecia złożone zostaną do archiwum wspomnień. Nie tylko na obyczaje oddziaływa dodatnio postęp nauki — ale i na sztukę. Literatura piękna zyskuje na rozszerzaniu wiedzy, w dowód czego Condorcet przytacza Woltera, którego talent rozwinął się pod wpływem nagromadzonych wiadomości. „Sztuka polega na naśladownictwie: jasnem więc, że nowe i lepsze spostrzeżenia dają artyście nowe punkty wyjścia; stwarzają nowe kombinacye, które uczynią jego twórczość oryginalną“. Comte uważał za podstawę swej filozofii jedność wiedzy ludzkiej i związek oddzielnych gałęzi nowej wiedzy. Jeszcze w roku 1784 w apologii d'Alemberta mówi uczony nasz: „nauki związane są ze sobą nierozerwalnym łańcuchem, a tam, gdzie się stykają, okazują jedna drugiej wielkie usługi“. Condorcet atoli dalekim był od myśli uczynienia pomocy owej zależną od porządku hierarchicznego, w jakim nauki te postępują za sobą. On nie ma Comte'owskiej klassyfikacyi wiedzy według zasady zmniejszającej się abstrakcyjności; co więcej uznaje nawet możliwość bezpośredniej pomocy matematyki przy rozwiązywaniu zagadnień socyologicznych.

T. K.

---

*) Materyał faktyczny do rozprawki niniejszej zapożyczamy u prof. M. Kowalskiego. Por. jego znakomitą charakterystykę: Condorcet 1894.

Witold Pruszkowski.

(Sylwetka)

(Dokończenie.)

Z kolegów Pruszkowskiego jeden tylko Picard miał rzeczywisty pociąg do historycznego malarstwa — inni go nie posiadali. Piwnicki, któremu w Monachium przyznano medal za martwą naturę, męczył się nad historycznemi obrazami, malował konie i bitwy, aż wreszcie ustał ze szkodą dla sztuki, bo miał talent niezaprzeczony, ale nie w tym kierunku. Niedaleko zaszedł Abramowicz, jako malarz historyczny, choć z tych czasów pochodzi znajdujący się w Muzeum narodowem „Wierzynek“. Hipolit Lipiński, mimo wyraźnego niezadowolenia Matejki, malował sceny rodzajowe, zwłaszcza targi, a chcąc wreszcie zniewolić dla siebie dyrektora, wynalazł coś pośredniego między obrazem historycznym, a rodzajowym, zaczął bowiem pracować nad „Konikiem Zwierzynieckim z końca zeszłego wieku,“ aby wprowadzić do obrazu starą architekturę i tradycyjne ubiory mieszczan i szlachty. Nie szło mu z tem jednak, przemalowywał obraz, zmieniał i w rezultacie go nie skończył; jeszcze później .parę razy, już w kilka lat po wyjściu ze szkoły, starał się wrócić do tego tematu, ale zawsze napróżno, zawsze był niezadowolony, pozostawił po sobie tylko kilka wielkich szkiców do „Konika“ z różnych czasów, jako dowód, że nie każdy talent da się naciągnąć do narzuconego sobie tematu. Jeden Benedyktowicz poprzestawał na własnym kierunku; namalował ówczas piękny obraz „Nad mogiłą powstańców“, oraz kilka lasów sosnowych i leśnych gęstwin, wśród których wzrósł i wychował się. Matejko dał mu pokój, ze względu na wyjątkowe warunki artysty, na brak rąk straconych w powstaniu, który to brak nie dozwoliłby mu tworzyć wielkich kompozycyi historycznych...

Jeżeli kto, to Pruszkowski ze swoją olbrzymią poetyczną fantazyą nigdy nie marzył o zdobyciu palmy na polu historycznego malarstwa. A jednak trzeba było uczynić ustępstwo dla Matejki. Pogodził je sprytnie ze swojem wrodzonem zamiłowaniem. Namalował niby to obraz historyczny, bo posłów wzywających Piasta na tron książęcy. Tylko przedewszystkiem był tam krajobraz ze ślicznemi kwitnącemi błoniami, na tle których odbijał się orzeł biały na czerwonym sztandarze, a zamiast kontuszów, aksamitów i karabel, które byłyby anachronizmem, skóry zwierząt leśnych pokrywały aktorów tej legendowej sceny. Obraz ten, lubo miał w sobie piękne „partye“, nie ziścił nadziei pokładanych w zdolnościach młodego malarza, rozczarował nieco tych co mu świetną przyszłość przepowiadali. W kolonii monachijskiej bowiem, kiedy ją opuszczał Pruszkowski, istniało silne przekonanie, że w krótkim czasie imię jego w świecie artystycznym tak zabłyśnie, że zaćmi nawet tych, co największym cieszyli się rozgłosem. Główną wadą obrazu było nieharmonizujące ze sobą połączenie legendy ze skrajnym realizmem w traktowaniu.

I dość czasu upłynęło zanim ziściły się przepowiednie monachijskie. Było to nieco z winy wyłączności kierunku Matejki, ale może daleko więcej winy z samego artysty. Była to natura nieokiełznana, szukająca dla siebie dróg nowych, lubująca się poniekąd w dziwactwach. Ambicya kazała mu stać o własnej sile, nie żądać pomocy materyalnej od rodziców. Przytem cyganerya artystyczna nie pomału w tych czasach wzrastała, po zejściu do grobu cyganeryi literackiej. Bawić się wesoło w towarzystwie kolegów, płatać sobie nawzajem figle, robić wycieczki zamiejskie, nie dbać czy tam na jutro wystarczy, przespać się choćby we trzech pod jedną kołdrą — to się nazywało dobrze używać życia. Za czasów Pruszkowskiego cyganerya ta nie była jeszcze w pełnym rozkwicie, ale były już jej początki, w których się nie obeszło i bez jego udziału.

Naturalnie, że w tych warunkach praca nie szła zbyt sporo. Pruszkowski, prócz tego miał swoją pewwą oryginalność, którą i do ostatnich czasów zachował. Zaczynał malować obraz, nikomu o tem nie mówiąc i nie pokazując go nikomu. Jeżeli go kto odwiedził, musiał długo czekać za drzwiami, gdyż przed ich otwarciem Pruszkowski odwracał obrazy i szkice do ściany. Zdarzało się jednak, że zapomniał drzwi zamknąć, ktoś niespodziewanie wpadł do pracowni i Pruszkowski nie miał czasu zasłonić lub odwrócić obrazu. Było to dla niego dostateczne, aby chwycić za pendzel i cały obraz, choćby był na ukończeniu, doszczętnie zamalować. Czasem dokonywał takiego zniszczenia dla tej tylko przyczyny, że jemu samemu kompozycya się nie podobała, że inaczej ją sobie przedstawiał w wyobraźni, a inaczej wypadła na płótnie.

ZMIERZCH BOGÓW.

Tłómaczył z Heinego St.

Maj przyszedł, przyniósł złote swoje blaski,
Jedwabne wiatry, łąk zielonych wonie;
Białemi kwiaty wabi, rozsypuje
Tysiące fiołków, stroi w wiosny kwiaty
Murawę miękką, jako dywan tkany
Jasnością słońca i rosy perłami,
I ludzi woła, by się weselili.
I trzoda ludzka prosić się nie każe;
Mężczyźni biorą spodnie nankinowe,
Świąteczny surdut w złociste guziki,
Kobiety białe niewinności szaty.
Młodzieńcy wąsy wiosenne fryzują,
Wypukłe dziewic piersi się podnoszą,
Poeci miejscy biorą do kieszeni
Ołówek, papier i lornetkę: — cała
Czereda spieszy po za miejskie bramy
I na murawie świeżej się rozkłada,
Podziwia, jak to drzewa pilnie rosną,
Wiosennych kwiatów cieszy się barwami,
Świergotu ptaków słucha w zachwyceniu
I grzmi radością pod niebios namioty.

* * *

I do mnie przyszedł Maj, Zapukał do drzwi,
Wołając: „Otwórz. marzycielu blady,
Jam Maj, przychodzę, by cię pocałować“.
Lecz ja zawarłem drzwi i zawołałem:
„Napróżno wabisz mnie, złowrogi gościu,
Znam cię, poznałem świata gmach do głębi;
Za wielem widział — i już się nie mogę
Weselić tak, jak inni. Wieczne męki
W sercu swem noszę. Patrzę przez kamienne
Pałaców dumnych i serc ludzkich ściany,
I widzę wewnątrz kłamstwo i niedolę.
Na twarzach ludzi czytam myśli srogie,
W dziewicy licach, co się wstydem płonią,
Pożądań tajnych widzę kryte ślady.
Na dumnej głowie młodzieńca spostrzegam
Czapkę z dzwonkami, ubraną w pstre szmaty.
I tylko larwy, tylko chwiejne cienie
Na ziemi widząc, odgadnąć nie mogę,
Czy obłąkanych to dom, czy też chorych.
— Przez starej ziemi skalistą opokę
Me oczy patrzą, jak przez szkła kryształy,
Ohydę widzę wewnątrz, którą próżno
Zielenią jasną Maj pokryć się trudzi.
Umarłych widzę — leżą tam na dole
We wąskich trumnach, ręce ich splecione,
Rozwarte oczy, białe jak śnieg szaty
I blade lica, a przez wargi — żółte
Robaki pełzną. Na grób ojca swego
Z kochanką siada syn, rozkoszy żądny.
W słowika pieśni jęk boleści słyszę,
W uśmiechu kwiatów szept ironji cichy;
Umarły ojciec wstrząsa się w swym grobie,
I drga boleśnie stara matka ziemia.

* * *

Ty biedna ziemio znam twoje cierpienia,
Ogniste żary toczą piersi twoje,
I z ran tysiąca krew twa płynie żywa,
Z ogniem płomieni zmięszana i dymem.
Z czeluści owych syny twe, olbrzymy,
Na świat wychodzą z pochodniami w dłoni;
Do bram niebieskich drabiny stawiają
I uderzają na niebios warownią.
Za niemi czarne karły się skradają.
— Złociste gwiazdy z trzaskiem uleciały.
Z namiotu Boga złotych zasłon fałdy
Bezbożna ręka zdziera; wyjąc padły
Na blade twarze archaniołów chóry.
Na swoim tronie siedzi Bóg wylękły,
Koronę zdziera z głowy i drze włosy,
A horda dzika pędzi — coraz bliżej.
Olbrzymy w niebios szerokie obszary
Rzucają swe pochodnie, karły biczem
Płomiennym ciała archaniołów sieką,
Za złote włosy targają bezbronnych —
Ci krzywią się i wiją się w boleściach.
— Ach! i mojego anioła tam widzę
W złocistych lokach; słodycz ma na ustach,
Wieczysta miłość igra mu na licach,
Z błękitnych oczu wieczne szczęście bije.
I nagle czarny, obrzydliwy karzeł
Chwyta w objęcia bladego anioła,
O ziemię rzuca go z złowrogim śmiechem
Harmonją kształtów giętkich oczy pasie
I opasuje go z miłosną żądzą. —
— I straszny krzyk przedziera niebios stropy,
Kolumny gną się, niebo się zapada
Wraz z ziemią — światem rządzi stara noc.

Za tych czasów cyganeryi w lecie roku, zdaje się, 1876, znikł raptem Pruszkowski z L. Picardem na parę miesięcy z Krakowa. Gdzie się podziali — nikt nie wiedział. Przypadkiem zajrzał ktoś do Mogiły, wsi oddalonej o milę od Krakowa, słynnej klasztorem Cystersów, i zastał tam obu artystów, malujących olbrzymie obrazy na ścianach odnowionej kaplicy. Po czemu za łokieć kwadratowy takiego fresku płacili OO. Cystersi, pozostanie zapewnie tajemnicą, ale dość, że obaj malarze byli zadowoleni, bo życie w klasztorze mieli dość przyjemne, przez parę miesięcy połykali świeże powietrze i coś tam jeszcze groszy do mieszka kapnęło. Pruszkowski miał jeszcze jednę specyalną satysfakcyą. Kiedy Picard malował na jednej ścianie jakieś zwycięstwo, odniesione nad Turkiem, czy innym poganinem, Pruszkowskiemu polecono na drugiej wymalować Matkę Boską odbierającą hołdy od wszystkich stanów. Znajdowali się tam i biskupi, i magnaci, i szlachta, znajdowali się chłopi i robotnicy. Pruszkowski tak ich podzielił, że chłopi i robotnicy stali po jednej stronie i do nich to zwróciła się Matka Boska, do nich wyciągnęła obie swe ręce, nie patrząc na infuły, karabele, kontusze i żupany. Dał więc wyraz swojemu demokratyzmowi, swojej sympatyi dla upośledzonych.

Kto wie, czy nie w owej Mogile demokratyzm ów zamienił się w tak zwaną chłopomanją, która tak w nim pokutowała, że jak tylko był w możności nabył sobie grunt w uroczym Mnikowie, wybudował dom z pracownią i osiadł w nim z rodziną, wszystkie prawie chwile wolne od pracy poświęcając rozmowie i zabawie z „sąsiadami“ w sukmanach i siermięgach.

Za pobytu w Mogile narodziło się pierwsze kumoterstwo chłopskie Pruszkowskiego, bo dziś podobno liczby ich dojść niepodobna. Zaprosił go w kumy do swojego syna gospodarz Łyskacz. Przy poczęstunku i kumoterskich uściskach przyrzekł mu Pruszkowski odpłacić się równą monetą, jeżeli się tylko ożeni i syna mieć będzie. I dotrzymał słowa: w kilka lat później Kazia Pruszkowskiego trzymał do chrztu kumotr Łyskacz z panią Benedyktowiczową.

Ale najważniejszym faktem z sielanki mogilskiej był powstały po niej obraz „Kiedy ranne wstają zorze“. Pewnego razu wybrał się Pruszkowski towarzyszyć przez noc całą chłopcom wiejskim, pilnującym koni na pastwisku. Nie można się temu dziwić, bo wychowaniec Odessy, Paryża i Monachium, pierwszy raz miał sposobność być całkiem na wsi i wśród ludu, do którego czuł oddawna olbrzymią sympatyę. Bawiła go więc nowość, zajmowały nieznane wrażenia. Wczesnym rankiem, kiedy pierwsze ranne promienie świtu zaczęły rozpędzać ciemności nocy, ujrzał Pruszkowski kilku pastuszków, jak zrzuciwszy czapki, upadli na kolana i zanucili pieśń dziękczynną. Ten poetyczny obrazek pozostał mu w pamięci, a z niej przeszedł na płótno. Rzecz była śliczna tak w pomyśle, jak w układzie i kolorycie: bił od niej urok piękna i prostoty. „Znalazł się Pruszkowski“, zawołano zewsząd, gdzie już zaczęto nieco wątpić w monachijskie przepowiednie. Znalazł się, bo po raz pierwszy natrafił na właściwy kierunek.

Dla wyczerpania wspomnień mogilskich dodać jeszcze można, że jeden z pisorymów, żyjący wówczas w bliskich stosunkach z Pruszkowskim, opisał tę jego klasztorną sielankę w humorystycznych rymach, opiewających zarazem jego towarzyszkę, suczkę Bziabzię, która była również przedmiotem wesołych karykatur, rysowanych przez kolegów jej właściciela. Treść jednak poematu jest tego rodzaju, iż zapewne wyjdzie on dopiero kiedyś w pośmiertnem wydaniu pism tego pisoryma, lub też za kilkaset lat wydobyty zostanie jako zabytek językowy i obyczajowy, przez którego z przyszłych członków Akademii umiejętności.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wychowanie i szkoła.

(Ciąg dalszy.)

A jakże się ma sprawa z onymi niezrównanymi wzorami patryotyzmu i cnoty obywatelskiej, z onymi przesławionymi wielkiemi mężami starożytności?

Posłuchajmy, co o nich mówi autor.

„Wielcy mężowie starożytności,“ powiada on, nie były to bynajmniej natury marzycielskie i aureola patryotyczna, która jeszcze w naszych oczach otaczała ich nieskazitelne głowy, zbladła znacznie w czasach ostatnich skutkiem nowszych badań historycznych.

Historya *Miltiadesa* jest pełna cieniów i świadczy, gdy się z niej odejmie bitwę pod Maratonem, raczej o wszystkiem innem niż o podniosłości charakteru. *Temistokles*, — o tem niewielu zapewne tylko z czytającej publiczności dowiedziało się w gimnazyum, — był wprawdzie wielki jako zbawca kraju w ciężkiej potrzebie, ale niemniej wielki był w braniu rozmaitych „darów“ i przez rozmaite łapówki i zdzierstwa zebrał sobie niezgorszy majątek. Po ojcu bowiem odziedziczył 3 talenty (około 1,400 mk.) gdy natomiast wskazany został na wygnanie, przyjaciele posłali mu do Azyi tylko z tego, co zdołali usunąć konfiskacie jego majątku 100 talentów (około 470,000 mk.). To trzymanie ręki zawsze otwartą do łapówek było też w Atenach głównym powodem do wzniecenia przeciw niemu powszechnej wzgardy i powszechnej nienawiści. Nikczemne usposobienie spółczesnego mu *Pausaniasza* scharakteryzowali dostatecznie starożytni i nowocześni pisarze. *Perikles* był wprawdzie zbyt wielki i z domu zbyt bogaty, aby łaszczeniem się na kilka tysięcy marek mógł być dać się uwieść do czynów podłych. Ale cała jego polityka wewnętrzna była wypływem najjednóstronniejszego egoizmu, a nastawiając ateńską maszynę państwową tak, iż iść nie mogła prawidłowo, skoro u korby nie było jego potężnej ręki, posiał on w przyszłość swego narodu więcej niż którykolwiek inny polityk zarodki szybkiego rozkładu. *Lysander*, który igranie w przysięgi jak pacholęta igrają w kości, wyniósł do godności zasady politycznej i tę zasadę przeprowadził w praktyce, jest może najwstrętniejszą osobistością w całej historyi greckiej. Nietyle wstrętny, ale w najwyższym stopniu nie sympatyczny jest nam charakter *Agesilausa*. *Demostenes* nie był wolen od podejrzenia u współczesnych, iż stoi na żołdzie Persów. Ale choćby ten zarzut był niesłuszny jak to przypuszczają nowocześni historycy, rola jaką odegrał w sprawie złodziejskiego skarbnika Aleksandra W., jest co najmniej wątpliwa i nie kto inny jak Droysen winę jego uważa za udowodnioną.

„O historyi rzymskiej powiada Ihne, iż jedyną sympatyczną osobistością jest u niej — Hannibal.

Wśród własnych mężów posiada natomiast Rzym tylko niewielu, których by młodzieży naszej z czystem sumieniem polecić można do naśladowania. Tak n. p. nie można ze stanowiska moralnego nic nadmienić przeciwko charakterowi *Scipiona* młodszego. Jego nieszczęściem było tylko, iż życie jego przypadło w czasy tak nędzne i że stosunki zmusiły go do czynów tak mało nam sympatycznych jak zdobycie Kartaginy i Numancyi. Również przeciwko Katonowi młodszemu, odliczywszy jego nieugięty doktrynaryzm, nic nie można przytoczyć, coby mu za skazę policzyć można. Inna rzecz jest z *Scipionem starszym i Katonem starszym*. Pierwszy umarł, nie oczyściwszy się z zarzutu, jakoby wziął grubą łapówkę od Antiocha. Drugi, — no! drugi znany jest przecież każdemu jako niedościgły ideał najnieskazitelniejszej surowości obyczajów i najgorętszej miłości ojczyzny. Tylko że ten najnieskazitelniejszy typ cnotliwości pożerany był chciwością, która go popchnęła do tego, iż w sprawach pieniężnych zasadą Non olet posuwał do ostateczności, iż z tego powodu był on katem i oprawcą ludzi, na którego zakamieniałość oburzali się sami Rzymianie, że w celu dojścia do pieniędzy obok wielu innych spekulacyi wielce wątpliwych prowadził on bujny handel ludźmi, ba, nawet nie wstydził się grać rolę bordelisty, zakazując swym niewolnikom spółkowania z innemi kobietami, natomiast stawiając im za opłatą pewnej ceny swe własne niewolnice do dyspozycyi, że sam jako starzec podeszły w leciech nie wstydził się ku zgorszeniu syna i synowej, z którymi mieszkał pod jednym dachem, utrzymywać z prostą nałożnicą stosunek, urągający przyzwoitości i obyczajności, o tem wszystkiem z pewnością nie wszystkim zarówno jest wiadomo. O największym „moraliście“ świata starożytnego, *Senece*, który przez brudne lichwiarstwo i krawaciarstwo mianowicie w Galii i Brytanii zebrał sobie majątek, zasługujący nawet podług pojęć rzymskich na miano książęcego, nie warto wspominać, ponieważ prymaner zabiera z nim pobieżną znajomość przy lekturze Tacyta.“

Tak więc studyów klasycznych w obecnych stosunkach nie można użyć na podniesienie siły moralnej naszej młodzieży. Jedyny zysk trwały, jaki jej stąd pozostaje, jest rozbudzenie w niej estetycznej wrażliwości. Ale czy ten zysk rzeczywiście jest tak ważny, jak to twierdzą mianowicie filologowie? Sztuka jest to bezwątpienia rzecz bardzo piękna i wzniosła, ale tylko jako przydatek do życia. Gdzie sztuka dla społeczeństwa staje się celem sama przez się, gdzie wypełnia ona zupełnie jego myśli i pragnienia, tam staje się ona objawem chorobliwym.

Od tego kresu wprawdzie społeczeństwo niemieckie jest jeszcze dalekiem, ale mimo to zdaje się, jakoby jego klasy wykształcone cierpiały już dzisiaj na niejaką hypertrofią zmysłu estetycznego. Cnoty dawno niemieckie znikają, na ich miejsce pojawia się chęć chorobliwa jak najświetniejszego ukształtowania zewnętrznego życia, a w ślad za nią idzie zbytek i rozpusta. Przykład idący z góry wciąga coraz więcej klasy niższe w ten wir niebezpieczny. Piękne meble, piękna odzież, życie nad stan, otóż ideały, które jedynie jeszcze u porządnego urzędnika lub nieco mienniejszego przemysłowca krew wprawiają w żywszy obieg. Gdzie na to nie ma, sam pozór musi zastąpić rzeczywistość, tam się zarabia fałszywą oszczędnością na wyżywieniu własnem i dzieci lub też rzuca się na bok względy i uczciwość i macza się ręką w obcych pieniądzach, jak tego dowodem mnożące się w zatrważający sposób procesy o przeniewierstwo i listy gończe za zbiegłymi kasyerami.

Tym brakom gimnazyalnego wykształcenia zaradzić by jedynie mogło większe uwzględnie, nie nowoczesnej wiedzy po naszych szkołach wyższych. Drogę do tego podał prof. Bahnsch, proponując zniesienie nauki języka greckiego w gimnazyach i zastąpienie jej nauką greckiej literatury na podstawie dobrych tłumaczeń w klasach wyższych. Oprócz tego należałoby jednakże i pod względem wewnętrznej tendencyi zreformować cały tryb nauczania po naszych gimnazyach. Głównem źródłem niedomagania było mieszanie dwóch pojęć przez dotychczasową pedagogikę gimnazyalną, wiedzy i wykształcenia. Wiedza bowiem sama w sobie nie jest jeszcze bynajmniej wykształceniem i zachodzą wypadki, iż człowiekowi bardzo bogatemu w wiedzę nie można bez wszystkiego przyznać predykatu człowieka wykształconego, i na odwrót, iż człowieka stosunkowo ubogiego w pozytywne wiadomości zaliczyć trzeba do ludzi bardzo wykształconych. Gimnazyum klasyczne nie dość tedy uważało na tę różnicę, i miasto stawić sobie harmonijny rozwój sił umysłowych młodzieńca za główne zadanie, opychało go zbyt jednostronnie wszelkiego rodzaju wiadomościami. Ztąd wyrodził się on bezlitośny system „paukowania“ i do tego systemu dostosowała się cała nowoczesna metoda, która nadto niedomagała jednym błędem kardynalnym t. j., iż zamiast w człowieku i pod duchowym względem widzieć organizm, rozwijający się podług pewnych nieodmiennych praw naturalnych, wzięła za punkt wyjścia ludzi i stosunki idealne, dowolnie skonstatowane. Stąd też tory, na jakie weszła pedagogika niemiecka od r. 1866, okazały się zu-

pełnie bezpłodnemi i miliony, wyrzucone na ulepszenie metod i środków uczonych, nie przyniosły spodziewanych owoców.

Aby tedy osięgnąć lepsze rezultaty niż dotychczas, należałoby tryb i tendencyą nauczania po szkołach wyższych odmienić w czterech punktach:

1) należałoby uprościć całą naukę przez ściślejsze przystosowanie jej do naturalnego rozwoju dziecka. W tym celu przedewszystkiem nauce języka ojczystego należałoby naznaczyć zupełnie inne stanowisko niż dotychczas. Albowiem z językiem ojczystym przynosi dziecko do szkoły pewien zasób pojęć, które się stają podstawą jego całego umysłowego rozwoju. Systematyczne zaś rozszerzenie zakresu tych pojęć i ich wyjaśnienie są głównem zadaniem nauki. To rozszerzanie jest jedynie możliwem w drodze tak zwanej apercepcyi t. j. zdolności przyjmowania pojęć z zewnątrz przychodzących w szereg tych, które już w duszy dziecka istnieją, i organicznego łączenia ich z niemi. Tę zaś apercepcyjną działalność duszy dziecka budzić można jedynie za pośrednictwem ojczystego języka, bo ten łączy się w dziecku wprost z myśleniem. Także tyle pożądana ze względów pedagogicznych koncentracya nauki tylko na polu języka ojczystego urzeczywistnioną być może.

2) nauka więcej powinna uwzględniać rozwój serca (Gemueth) i wyobraźni w naszej młodzieży. Nie trzeba bowiem zapominać, iż serce i wyobraźnia, to twórczynie i przedstawicielki ideałów w człowieku i że ludzkość tym dwom władzom duszy w dziejach swego wielotysiącznoletniego rozwoju zawdzięcza swe największe i najwznioślejsze pomysły. Każda bowiem myśl prawdziwie wielka, myśl wewnętrznie porywająca ludzi i przez wieki całe na wiek oddziaływająca nie została mozolnie spreparowaną w pracowni spekulacyjnego rozumu, ale narodziła się jako owoc bezwiednego popędu, jako błyskawiczny impuls serca i wyobraźni. Wyobraźni zresztą potrzebuje każdy człowiek, który w zakresie swej działalności stworzyć chce coś oryginalnego, trwałego. Dla wielkiej masy zwykłych śmiertelników jest ona gruntem na którym wyrastają jej religijne, moralne i prawne wyobrażenia, jej altruistyczne uczucia.

3) szkoła powinna obrać sobie za cel najwyższy pogłębienie moralnego czucia w młodzieży i w tym kierunku działać na nią przez odpowiednie moralne pouczanie. Nie wynika stąd bynajmniej, jakoby należało zaprowadzić po szkołach naszych oderwany od reszty nauki kurs osobny nauki moralnej w rodzaju tej, jaką Francuzi mają w swem „enseignement de la morale civique“, gdyż takie sztuczne injekcye moralnego destylatu wywołują tylko zamącenia w duchowym organiźmie młodzieży. Natomiast powinien nauczyciel tam, gdzie się do tego nadarzy rzeczywista sposobność, traktować swój przedmiot z wyższego, więcej etyczną jego stronę uwydatniającego stanowiska. Na sposobności do tego zbywać zaś nie może, ponieważ każdy odłam wiedzy, nie wyjmując matematyki, ma swoją etyczną stronę, a wyzyskanie tego jego etycznego elementu stanowi właśnie najwyższe zadanie wszelkiej nauki.

Aby jednakże nauka moralna padła na grunt urodzajny, winien być i sam nauczyciel jednostką wyższej moralnej wartości. Nic bowiem nie zatruwa więcej serc młodzieży jak sprzeczność pomiędzy słowami, a czynami nauczyciela. Nadto, mając być przewodnikiem i doradzcą młodzieży, nie powinien nauczyciel zasklepiać się w jednostronnej gruntowności, ale starać się o niejakąś wielostronność wiedzy i dostateczny zasób życiowego doświadczenia. Stąd też

4) powinna dążność do naukowego specyalizmu, przeważająca zawsze jeszcze w sferach nauczycielskich, być do pewnego stopnia ograniczoną na korzyść gruntownej i z rzeczywistością w żywych stosunkach stojącej wiedzy ogólnej, a wartość nauczyciela ocenianą być winna nietylko podług ilości i wysokości kwalifikacyi, ale także jego charakter i takt pedagogiczny brane być winne na uwagę.

Nauczycielowi wyposażonemu takimi przymiotami, nie trudno będzie nadać słowom swoim nawet bez środków przymusowych tę wagę, jaka im przystoi. Z drugiej strony powinien by wszakże i nauczyciel uzyskać więcej swobody do ujawnienia swej indywidualności. Zabójstwem bowiem dla iście dobrego nauczyciela jest pedagogika. która wszelkie postulata sztuki pedagogicznej chce sprowadzić do formułek mechanicznych i dla tego określa bieg wewnętrzny i zewnętrzny dzieła wychowania w jego najsubtelniejszych szczegółach drobiazgowemi przepisami. Ciasne ramki, jakie paragrafy zakreślają jego działalności, niemożliwość działania na uczniów bezpośrednio siłą i wagą własnej osobistości, dają mu uczuwać jego zadanie jako twardy przymus. Stąd też nierzadki jest widok, iż osobistości z wybitną indywidualnością wśród nauczycieli, ci, którzy poświęcili się zawodowi nauczycielskiemu z zamiłowania do sprawy wychowania młodzieży, gdy ich los zapędzi do jakiego „wzorowego“ zakładu, wcześnie tracą chęć i zamiłowanie do swego zawodu i chodzą poprzez szkólne godziny jako bezistne widziadła i bezsilne automaty regulaminowe.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 5 lutego.

(*Bank galicyjski dla handlu i przemysłu. Pomoc naukowa dla kobiet. Dar p. Żółtowskiego dla Stowarzyszenia pracy kobiet. Lysistrata.*)

Od kilku lat wciąż obiegały pogłoski, iż krakowski Bank galicyjski dla handlu i przemysłu ma przejść w ręce obcych kapitalistów. Bank ten założono przed blizko 30 laty. Otrzymawszy niezwykle ważne i szerokie przywileje, statutowe, instytucya ta powinna była oddać krajowi ogromne usługi, wzrastając sama w wielką potęgę kapitału. Nadzieje te jednak nie zostały spełnione, dzięki jużto niedołęztwu, jużto niefachowości, a nawet nieco i bawieniu się w politykę. Dość, iż przed laty 10-ciu, straciwszy kapitał, a nawet depozyty, miał być Bank zlikwidowany. Dzięki ofiarności kilku możnych ludzi, zażegnano upadek, zrzeczono się dobrowolnie wielu pretensyi (między innemi ks. Wł. Czartoryski stracił koło 800,000 złr. będących funduszem Muzeum) i w ten sposób uratowano instytucyę. Ale ograniczony jej kapitał akcyjny pomimo wprowadzenia do zarządu ładu i porządku, nie dozwalał na szersze operacye, a tem samem na rozwój instytucyi. Wyjątkowe przywileje, z których nie można było korzystać, zachęcały obcych kapitalistów: między innymi przed kilku laty traktowała o nabycie Banku jakaś spółka angielska, a wiedeńskie sfery finansowe nieustannie patrzyły na Bank pożądliwem okiem. Ta chęć objęcia instytucyi przez obcych, zwróciła na siebie uwagę ludzie zamożnych, którzy po wyczerpujących naradach nabrali przekonania, iż można krajowemi kapitałami rozszerzyć działalność Banku, z zupełną gwarancyą dla składanych w nim funduszów. Gotówki w Galicyi nie brak, — w samych kasach oszczędności i w papierach wartościowych leżą miliony, — ale brak wystarczającej i odpowiedniej organizacyi bankowej nie przedstawiał pola do korzystnej lokacyi i fruftyfikacyi kapitałów, któreby mogły w wielu kierunkach popierać i przeprowadzać ekonomiczne i społeczne zadania. Ile razy idzie o większą operacyę finansową, jak n. p. o konwersyę listów Towarzystwa kredytowego, musimy wzywać obcej pomocy, za którą natnralnie dobrze płacić potrzeba. Wobec tego postanowiono na razie podnieść do 2 milionów kapitał akcyjny Banku dla handlu i przemysłu. (Dziś wynosi on 334 tysięce złr.). Zawiązany komitet, do którego należą Wł. hr. Baworowski, J. Fischer, dr. Władysław Lisowski, hr. Andrzej Potocki, dr. Maurycy Straszewski, poseł Szczepanowski, Julian Tołłeczko, Zdzisław Włodek i hr Andrzej Zamojski, rozesłał odezwę do subskrypcyi, pragnąc, ażeby do rozwoju działalności Banku przyczyniły się w pierwszym rzędzie krajowe siły finansowe. Obce kapitały dopuszczone zostaną dopiero później, jeżeli siły własne nie wystarczą do wykonania szerokiego programu działalności. Powiększony Bank ma utrzymywać ścisłą łączność ze wszystkiemi polskiemi krajowemi i pozakrajowemi instytucyami finansowemi, przez co może się wytworzyć silna grupa polskich instytucyi finansowych, mogąca przeprowadzać wielkie a obchodzące kraj cały operacye. 11 lutego odbędzie się w Towarzystwie ubezpieczeń zebranie subskrybantów, a w pięć dni później, na walnem zgromadzeniu akcyonaryuszy, postawiony zostanie wniosek dalszego powiększenia kapitału akcyjnego po nad uchwaloną już przez zarząd sumę 2 milionów.

Zawiązane przed kilku laty „Stowarzyszenie pomocy naukowej dla kobiet Im. Kraszewskiego“ ogłasza konkurs na dwa stypendya po 150 złr. dla kobiet uczęszczających do uniwersytetu. Towarzystwo rozporządza skromnym kapitałem, bo wynoszącym zaledwie 1200 złr. Statut przeznaczył trzy czwarte dochodów na kapitał żelazny, a pozostałą jedną czwartą na fundusz obrotowy, skutkiem czego Towarzystwo nie mogło dotychczas prawie całkiem działać. Walne zebranie zmieniło statut na niekorzyść funduszu żelaznego, wskutek czego Towarzystwo może dać znak życia i tym sposobem zainteresować szersze koła publiczności. Prezesem Towarzystwa wybrano dr. Adama Bałcikowskiego, jego zastępczynią profesorową Bujwidową, a podskarbim prof. Napoleona Cybulskiego.

Inna instytucya kobieca, również wejdzie na szersze pole działalności. Przed dwoma laty zawiązano „Stowarzyszenie pracy kobiet“, mające na cele zorganizowanie pracownic igły, podniesienie ich moralne i ekonomiczne, oraz utworzenie takiego zakładu, któryby dając uczciwy zarobek kobietom, stał się ogniskiem porządnej pracy, zapobiegał wzrostowi protelaryatu i oddawał usługi przemysłowi krajowemu w dziale bielizny. Dola Stowarzyszenia nie była jednak do pozazdroszczenia; dużo było jaśnie wielmożnych i wielmożnych protektorek, ale mało kapitału, mogącego sprawę dobrze postawić. Zacna myśl jednak zwyciężyła, znalazł się bowiem człowiek ofiarny, który postanowił zaradzić odczuwanej potrzebie. A niejest nim żaden magnat, nie żaden nawet z tych ludzi, których się nazywa zamożnymi, lecz człowiek posiadający skromne fundusze, ale większe od nich serce, którego brakuje potentatom finansowym. Pan Ignacy Żółtowski, człowiek dla siebie do najwyższego stopnia oszczędny, nigdy się nie wahał tem, co zaoszczędził, podzielić się z biednymi. To też i w tym wypadku, prawie nad możność swoją, ofiarował na cele „Stowarzyszenia pracy kobiet“ kwotę 15,000 złr. wyrażając życzenie, ażeby Stowarzyszenie mogło ująć w swe ręce i inne działy pracy kobiecej, a zwłaszcza gospodarstwo domowe, na wzór zakładu hr. Celiny Platerowej w Chyliczkach pod Warszawą.

„Lysistrata“, komedya grecko-krakowska, napisana przez spółkę Koźmian-Arystofanes, o której treści (nie spółki, lecz komedyi) dałem już wyobrażenie Czytelnikom „*Przeglądu*“, cieszy się wcale znacznem powodzeniem. „*Nowa Reforma*“, pisząc o tej sztuce, wyraziła się, iż powodzenie jej będzie miarą smaku etycznego wśród publiczności krakowskiej. Pismo to przypuszczało, iż treść w wysokim stopniu nieprzyzwoita, upstrzona grubemi karczemnemi konceptami, powstrzyma ludzi poważnych, a zwłaszcza kobiety, od zwiedzenia pierwszy raz wystawionego na scenie krakowskiej *gynajkejanu*. Tymczasem właśnie ta treść, właśnie te koncepty poruszyły sfery najpoważniejsze: miejsce w teatrze zajęła arystokracya, zajęli wszyscy urzędnicy, dyrektorowie i profesorwie uniwersytetu i gimnazyów, radzcy miejscy, rozmaitego rodzaju staruszkowie, co to są „żywym przykładem dla młodych pokoleń“ (w mówkach toastowych), zajęły wreszcie „nasze matrony“, kapłanki ognisk domowych, a nawet dziewice, „w których sercach spoczywają skarby tajemnicze“. Co do płci pięknej zauważyć muszę, iż poszła naprzód na pierwsze przedstawienie, udając, że o niczem nie wie; później wstrzymała się przez dwa przedstawienia, a kiedy dopiero sądziła, że już płeć męzka nasyciła się „Lysistratą“, rzuciła się hurmem na czwarte

i piąte przedstawienie; tak więc połączyła przyjemne z pożytecznem: oddała naprzód hołd etyce, a później p. Koźmianowi. Oprócz gwałtownie wesołej fabuły ma jeszcze „Lisistrata wiele innych przymiotów. Pierwszy jej akt dość wprawdzie nudny, ale przynajmniej ciekawy, bo jest w nim stosunkowo najwięcej Arystofanesa. Następne akty wyszły przeważnie z pod pióra p. Koźmiana i przekonały widzów, iż poczynający ten pisarz dramatyczny posiada to wszystko, czego komedyopisarz posiadać nie powinien. Trudno sobie wyobrazić zlepku bardziej niezdarnego, rozwlekłego, bez intrygi i akcyi, dowcipków więcej nieudanych. Ordynarny język i błędy gramatyczne, (zwłaszcza *accusativus* tramtadratikus) dopełniają całości. Aluzye do stosunków krakowskich, albo całkiem są niezrozumiałe, albo przypominają studenckie dowcipy. Cały trzeci akt dzieje się w *gynajkojanie* i choć się dzieje, nic przecież w nim się nie dzieje. Widzimy tylko na tle wspaniałej dekoracyi kilkanaście ladacznic i kilkunastu graczy i pijaków; trudno wyobrazić sobie, jak to wesołe towarzystwo djabelnie się nudzi, nudząc sobą i publiczność.

Najwstrętniejszą rzeczą w „Lysistracie“ są na tle pornograficznem wypowiadane tyrady o miłości ojczyzny i obowiązkach obywatelskich. Naiwność p. Koźmiana doszła do tego, że każe t. zw, grzecznie „Bratkom“ wznosić okrzyki na cześć Badenich; oryginalny zaiste, a wątpię, czy smaczny dla obdarowanych, objaw pochlebstwa. Czwarty akt zamienia się w operetkę, ale bez jej dowcipu, lekkości i muzyki; poważni mężowie greccy występują w roli błaznów cyrkowych. Najbardziej zadziwia, iż do tej cynicznej i nędznej ramoty napisano prolog wcale udatny; naturalnie autorem prologu nie jest p. Koźmian.

Dziennikarstwo z wyjątkiem „Czasu“ przyjęło „Lysistratę“, jak na to zasługuje. Ciekawy to objaw: Organ katolicki, narzekający wciąż na upadek pojęć etycznych, jest obrońcą pornografii. Nie pierwszy to jednak raz, ani ostatni. Kiedy przed laty mniej więcej dziesięciu wystawiono ślizgą sztukę „Oj młodzi, młodzi“, jeden „Czas“ tylko zdobył się na jej pochwały, a o rozwiązłym bohaterze komedyi napisał, że taka młodzież być powinna. Nie trzeba zapominać jednak, że autorem „młodych“ był Jan Aleksander *hrabia* Fredro, a „Lysistratę“ przerabiał p. Koźmian. Hrabiom i Koźmianom wszystko wolno... w „Czasie“.

K. Bartoszewicz

KRONIKA WIEDENSKA.

Wiedeń, 1 lutego 1895.

Wieczorki polskie. — Nowe zaspy śniegowe. — Milionowy zapis. — Cisza w parlamencie. — — Przygłuszona sprawa reformy wyborczej. — Antysemici w sejmie niższej Austryi. — O szpitalu i sekcyi zwłok. — Statystyka głodu. — Pocałunek na scenie. — Notatki literackie.

Jak nam poznańskie echa głoszą, to podobno obchodzicie żałobę na pamiątkę podziału naszej Ojczyzny? W Galicyi zaś tańczą i bawią się wesoło, ergo tedy i my we Wiedniu także hulamy. Odbyły się tutaj dwa „mazurowe wieczorki polskie“, skromnie tak nazwanę przez wzgląd na tradycyę dawnego „Balu polskiego“ na którym bywał monarcha z następcą tronu i wszyscy arcyksiążęta. Bal polski już nie istnieje, a na wieczorkach zamiast cesarza lub którego z arcyksiążąt bywają przyszli ministrowie — obecnie praktykanci we wszystkich możliwych ministeryach. Komitet wieczorków składa się ze samych hrabiów, i „rycerzy“, a najmniejsze figury co do tytułów to są dwaj malarze, Ajdukiewicz i Pochwalski. Tańczono do białego dnia, chociaż zachodzi obawa, aby nie stało im się tak jak owym w „Legendzie o zapamiętałych tańcownikach“, którzy się na śmierć zatańcowali i ducha wyzionęli. Do mazura stanęła masa Niemców i Niemek, a w kulawem tempie, obrywano potrochu paniom treny od sukien, a mężczyznom deptano po palcach. Ale tradycya mazura utrzymana, i wielkopańskość również. Za filiżankę herbaty płacono 1 złr. 20 cen., a za kieliszek „*kontuschofki*“ 50 centów. Jak hulać, to hulać!

Zaledwie dni kilka przepięknych pojawiło się, — znowu zaspy śniegowe. Drugi już dzień wieje i gwiżdże i sypie w oczy drobniutkim białym puchem, że aż niemiło pokazać się na ulicy. Jak komu. Są bowiem w Wiedniu setki, jeżeli nie tysiące ludzi, którzy żyją parę tygodni przynajmniej ze śniegu. Nazywają siebie „Schneeschaufler“, a są wypadki, gdzie w Lipcu wyłapany włóczęga powiada, że jest „ein Schneeschaufler“! Tysiące jednak ludzi bez zatrudnienia, nawet z lepszej klasy roboczej, chwyta za miotłę i łopaty, aby chociaż parę dni zarobić na łyżkę ciepłej strawy!

Przed kilku dniami umarł tu milioner Treitl, nie manifestujący się ze swoim kapitałem za życia. Okrągły milion guldenów zapisał on Akademii Umiejętności na cele astronomiczne. Jak mówią, pieniądze te mogą być użyte na wyszukanie znaków porozumienia się z mieszkańcami Marsa! Także coś warte, i to teraz, kiedy rząd nie może porozumieć się w żaden sposób z Kołem polskiem i niemiecką lewicą, co do przeprowadzenia reformy wyborczej. Niech naród czeka!

Przecież tylko dwa lata dzieli nas jeszcze od terminu wyborczego posłów do parlamentu, więc nie mamy zanadto wiele czasu do wyszukania sobie różnych posad i synekurek. W parlamencie głucho i pusto. Komisya zmiany kodeksu cywilnego przed kilku dniami rozpoczęła wprawdzie narady, członkowie jej jak cienie przesuną się czasami przez ciche korytarze, czasami odezwie się echem nazwisko Lewakowskiego i jego sejmik relacyjny we Lwowie, ale to chwila i znowu spokojnie. Ten sam głuchy spokój owionął i reformę wyborczą, o której i w Sejmie galicyjskim mówić nie chciano, mimo istnienia partyi demokracyi z „lewicy sejmowej“, a w Wiedniu, wśród sfer parlamentarnych, nie mówi się o niej już wcale. Trochę ruchu w nowościach politycznych mieliśmy z Budapesztu, trochę z Paryża — zresztą spokój i mdło do znudzenia.

Wojują tylko antysemici i chrześcijańsko-socyalni w Sejmie Niższej-Austryi. To też galerye przepełnione są publicznością, zrywającą sobie boki śmiechem nad kłótniami posłów Luegera i Gregoriga z marszałkiem sejmowym hrabią Traun, który wprawdzie po trzy razy dziennie odbiera im głosy, ale tem samem rozdraźnia i jątrzy. Poruszano mianowicie sprawę nadliczby żydów-lekarzy, którzy specyalnie są w głównym szpitalu tutejszym protegowani. W uniwersytecie mają swoje stowarzyszenie „Kadimah“, a tak silnie wiążą się solidarnością, że nieżydowi trudno otrzymać nawet prywatną docenturę. Protegują takie stanowisko profesor Nothnagel, a w sejmie broni obecny rektor ksiądz Müller.

Antysemici poruszyli też i sekcye zwłok w szpitalu. Mianowicie każdy zmarły w niezwykły sposób, lub w szpitalu podlega tak zwanemu „krajaniu“ przez doktorów, ewentualnie uczniów medycyny. Otóż żaden z trupów żydowskich, pod nóż nigdy nie przychodzi! Żydzi wyrobili sobie odrębne w tej sprawie stanowisko, i zaraz trupa ze szpitala zabierają, zanim wogóle o krajaniu tegoż ktoś pomyśli. Na chrześcijaninie uczą się więc lekarze żydzi — a to być nie powinno! konkludują Lueger i Gregorig.

Ciekawy obraz — chociaż bardzo smutny, przedstawia wiedeńska statystyka... głodu. Od 15 listopada minionego r., do 15 stycznia tegoż, odwiedziło tutejsze ogrzewalnie 309,691 osób, a to: 109,417 mężczyzn, 98,015 kobiet i 101,929 dzieci. Obdarzono ich 500,000 porcyi zupy i chleba. Największy napływ do schronisk, był w ostatnich dwóch tygodniach, w których nie mniej jak 97,730 biedaków, szukało ciepła i jakiej takiej strawy. A iluż to codziennie z głodowego wycieńczenia umiera, ilu z nędzy życie sobie odbiera lub puszcza się na kradzież i rozboje! Statystyka głodu wielkiego miasta, to najsmutniejsza jego karta, zapisana nędzą, rozpaczą, zbrodnią i kryminałem.

Dzienniki tutejsze zajmują się sprawą, czy aktor na scenie ma prawo całowania partnerki, jeżeli rola tego wymaga, czy nie? Od kilku dni formalna walka się toczy o to, że w „Rajmund-Theater“ pani Leuthold, niepozwoliła się naprawdę całować aktorowi Ranzenbergowi. Za i przeciw mnóstwo ludzi, a obrażona przez kolegę aktorka, niechcąc być narażoną na powtórne na scenie znieważenie, woli ze sceny ustąpić, bo ma męża, którego kocha i któremu takie sceniczne całusy nie są najmilsze. Właśnie dzisiaj czytam w dziennikach, że pani Leuthold wręczyła dyrekcyi swoją dymisyę.

Zygmunt Bytkowski stale w Wiedniu mieszkający młody literat, przełożył na język niemiecki polski dramat Zglińskiego p. t.: „Jakób Warka“ i oddał dyrekcyi jednego z tutejszych teatrów. Tegoż tłomaczenie noweli R. Lewandowskiego p. t. „Er“ („on“) umieścił dziennik „Neues Wiener Journal“ w numerze z dnia 29 stycznia. Tygodnik tutejszy „Die Zeit“ pismo znakomicie przez modernistę Hermana Bahr'a prowadzone, przyniosło w ostatnim numerze artykuł o „najnowszych prądach literatury polskiej, przysłany przez Krzywickiego z Warszawy.

N.

NA WYŁOMIE.

(Odprawa „Kuryerowi Poznańskiemu“. W sprawie „Czytelni ludowych“.)

Wróg Kościoła! Ileż razy w ostatnich latach życia naszego słowo to odbijało się o uszy nasze, zrazu złowrogim, a w końcu już tylko humorystycznym dźwiękiem. Wrogiem kościoła jest „Goniec Wielkopolski“ i „Orędownik“ i „Postęp“ i nawet pobożny „Dziennik Pozn.“, któremu jeszcze przed trzema laty zagrzmiał nad uchem braciszek „Kuryer“, że „liberalne pazurki“ odsłania. Przyszła i kolej na „Przegląd“, z tą tylko różnicą, że to już nie wróg pospolity, lecz wróg „najzaciętszy“, coś w rodzaju Belzebuba, Antychrysta, Lewiatana lub Lucyfera. Huk piorunów wywierał zrazu pewne wrażenie, ludzie niespokojnem okiem spoglądali w oblicze gromowładnego Jowisza i drżeli. Z czasem jednak zaczęto uśmiechać się dyskretnie, wzdrygać ramionami, dowcipkować, i zdarza się dzisiaj nierzadko, że najszczersi przyjaciele „Kuryera“, biorąc do ręki przeklinającą bibułę, pytają ironicznie: Kogoż tam znowu wyklęli?

To też wybaczą mi szanowni koledzy z świętomarcińskiej dzielnicy, że przeczytawszy ich najświeższe „anathema“, westchnąłem tylko i trawestując znany distichon Schillera, tak rzekłem:

„Sitzt der „*Kuryerek*“ beim Glase, so ist er leidlich verständig,
„Macht er sich aber ans Schreiben, gleich wird ein Unsinn daraus.“

Jakież jest imię tej zbrodni, która znowu uszczupliła arsenał Kuryerowy o jeden piorun teatralny? „La politique royale“. Pojawił się pod takim tytułem artykuł w „Przegl. Pozn.“, piętnujący hyperlojalizm „Kuryera“ i sprowadzający na drodze logicznej dedukcyi do pospolitego absurdu jego teoryę królewskiej świętości i nieomylności. Wnioski głośnego artykułu, zamieszczonego w piśmie naszem, były postawione z tak matematyczną ścisłością, że polemista Kuryerowy nie podjął się walki rzeczowej, nie odważył się naruszać rozumowych refleksyi, lecz zadowolił się prostem wymyślaniem na temat „wrogów kościoła“, „prymanerów“ „bluźnierców“ i t. p. To wasza taktyka. mości panowie: Ziemia obraca się około słońca. „Głupstwo!“ — wołacie. Dla czego? — „Bo głupstwo“.

Wy to nazwiecie lekceważeniem, lecz czł

wiek rozumny nazwać to musi impotencyą ducha.

Zdarza się jednak niekiedy buńczucznemu „Kuryerowi“, że mimowoli składa rączęta i spowiada się publicznie z bezsiły swojej. Oto kapłan anonimowy, który rzekomo nadesłał temu organowi fulminującą polemikę, tak się odzywa w drugim ustępie elaboratu swego:

„Co zaś do artykułu Kuryerowego, który „Przegląd Pozn.“ natchnął do tego wypracowania pseudo-dogmatyczno-historycznego, to szkoda, że tej materyi trudnej nie określił teolog, bo przekonany jestem, że każdy, choćby najmłodszy, byłby te punkta umiał i miał obowiązek ściślej określić i obwarować przeciw mylnym dedukcyom lub niedostatecznemu oświeceniu w zasadach św. naszej wiary.“

„Kuryer“ zaś w skromności swojej taką dołącza uwagę w klamerkach:

„Możeby szanowny autor niniejszych uwag jeszcze teraz sam się raczył podjąć tego trudu. Przyp. Red.“

Jakiż ztąd wniosek logiczny?

1. Że „Kuryer Poznański“ nie określił „ściśle“ trudnej materyi.
2. Że „*najmłodszy*“ kapłan umiałby „ściślej“ określić charakter „pomazańców bożych“ niż najstarszy redaktor „Kuryera“.
3. Że „Kuryer“ wobec polemiki naszej czuje się bezsilnym i apeluje o pomoc do duchowieństwa.

Zdarłszy maseczkę delikatnego stylu z tej gorzkiej nauczki streszczczamy bez skrupułów myśl powyższą w następujących słowach: „Kuryer Poznański“ przeholował do tego stopnią w adoracyi swojej dla tronu i takie dziwolągi o świętości i nieomylności królów popisał, że na drodze dedukcyi wyprowadzić można ztąd wnioski ubliżające stanowisku religii i kościoła.“ A zatem gromy ciśnięte na „Przegląd Poznański“ zamieniają się w list pochwalny dla nas, — w *testimonium paupertatis* dla lojalnego „Kuryera“. A jeżeli w artykule naszym znalazła się uwaga, że klerykalno-lojalny szermierz dziennikarski pierwszą ojczyznę upatruje w Rzymie, a drugą dopiero w Polsce, to niechaj redakcya Kuryera raczy publicznie i otwarcie twierdzeniu naszemu zaprzeczyć, a cofniemy skwapliwie ten poważny zarzut. Nigdy jednak nie odwołamy twierdzenia, że nasz bałwochwalca królów bardzo wątpliwe wyświadcza przysługi religii t. j. nie martwej literze, nie formom i ceremoniom, lecz wielkiej idei Chrystusowej. Czyż bowiem między wierne sługi Nazareńczyka zaliczymy tego, który codziennie nieomal szczepi w polski organizm laseczniki nienawiści, tego, który z iście semicką zaciętością ściga przeciwników swoich, tego, który bojkot głosi na chorążych narodowego i ludowego kierunku, tego, który w celach partyjno-politycznych wyzyskuje Kościół i religię. Być może, że taki niechrystusowy teroryzm służy przelotnie pewnej części duchowieństwa, spragnionej bezwzględnego posłuszeństwa w każdej dziedzinie życia publicznego, ale czyż w tych tłumach przerażonych kościelnym straszakiem i ujarzmionych groźbą bojkotu, nie przygaśnie światło Betleemskie, nie zbudzi sią ostatecznie żal utajony do tych, za których organ uchodzi „Kuryer Poznański“, nie wyrośnie jakiś cichy protest przeciw wyznaniu, pętającemu swobodę obywatelską. Niechaj was panowie „Kuryerowi“ nie upaja momentalny tryumf teroryzmu, bo kto wie, czy kosztów zwycięstwa nie opłaci jutro — religia. Ostatni okres walk politycznych rzucił niebezpieczne zamieszanie pojęć w niziny społeczne, a siewnikiem trującego ziarna był w pierwszym rzędzie nasz przeklinający krótkowidz. Być może, że legion ugodowców uwije mu za to wieniec laurowy, lecz ja, którego wy nazywacie poganinem, a który korzy się w najgłębszym zachwycie przed jutrznią Chrystusową, mówię bez trwogi: „Precz od krzyża, bo czyny twoje urągają męczeństwu Golgoty!“ Słyszycie? Uderzcie w dzwony na alarm, zwołajcie zebranie mężów „ładu i porządku“ na Bazarowej sali i uchwalcie wotum zaufania dla praktyk Kuryerowych. Nie zdziwi to dziś już nikogo, bo u nas zabija się stale każdą opozycyą przy pomocy tych patentowanych instrumentów. Przypominam sobie, że w ubiegłym roku na walnem zebraniu Towarzystwa czytelni ludowych, ktoś zwrócił uwagę na dwie powieści, tłomaczone z francuzkiego, a owiane tchnieniem romansów bulwarowych. Książki te, obce nam pojęciami, typami i duchem znalazły się w bibliotecznych szafach, a jeden z najgorliwszych miłośników ludu w sposób na wskroś objektywny i spokojny prosił o ich usunięcie. Natychmiast jednak podnoszą się apostołowie milczenia i mówią: „Stawiamy wniosek o wotum zaufania dla zarządu“. Wotum uchwalono, dyskusyę ucięto, krytykę zabito i zaledwie kilka jednostek uświadomiło sobie całą śmieszność podobnego postępowania. Zaiste! Możnaby tu na wzór głośnego dowcipu jednego z dzienników niemieckich ukuć następujące pytanie i odpowiedź: Jakie są obowiązki Polaka wobec czytelni ludowych? „Mitglied werden. Beiträge zahlen und Maul halten!“

Wybaczy mi jednak Zarząd szanowny, że nie zastosuję się do wzniosłej recepty i na tem miejscu wyrażę życzenie, aby tytuły książek zakupionych w roku ubiegłym wymieniono w pismach poznańskich. Zbliża się termin walnego zebrania, a my nie kwitując bynajmniej z prawa kontroli, pragniemy poznać dokładnie materyał dyskusyi.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Z Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Młody, a zaszczytnie znany z pracy swojej o „Wojnie domowej“ Samuela Twardowskiego literat *Dr. Aleksander Czechowski*, przedstawił na dwóch ostatnich posiedzeniach wydziału historyczno-literackiego „Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu“, dalszy ciąg studyów swoich nad Twardowskim, a mianowicie nad drobnemi wierszami poety tego. Treść tych interesujących odczytów jest następująca:

Sławiony swego czasu jako Homer lub Maro polski Samuel Twardowski należy dziś do najmniej znanych poetów naszych XVII wieku, pomimo, że utwory jego, drukowane po części jeszcze za życia autora, zachowały się prawie wszystkie. W podręcznikach historyi literatury znajdujemy o nim zaledwie krótkie wzmianki, po części fałszywe, a z prac większych, samodzielnych posiadaliśmy do niedawna tylko studyum Bronisława Chlebowskiego, drukowane w „Tyg. Illustr.“ z roku 1872. Studyum to nie jest jednakże ani wyczerpujące, ani też sprawiedliwe. Chlebowski za mało uwzględnił wielkie epiczne utwory Twardowskiego, a opierając się przeważnie na najsłabszych, drobnych jego wierszach i powodując się pewnem uprzedzeniem, przedstawił charakter poety i stanowisko, jakie zajmuje w literaturze, zupełnie fałszywie.

Wydawszy niedawno broszurę o „Wojnie domowej“ Twardowskiego, podjął się teraz dr. Czechowski w odczytanej na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego rozprawie sprostowania nieścisłych i nieuzasadnionych zdań głoszonych o tym poecie, mianowicie przez Chlebowskiego, i uzupełnienia jego pracy, o ile dotyczy utworów zawartych w zbiorku kaliskim z roku 1682 p. t. „Miscellanea selecta“.

Pomijając drobniejsze szczegóły, przytoczymy z wyników jego badań tylko najważniejsze:

Zdaniem dr. Czechowskiego nie obejmują „Miscellanea selecta“ wszystkich drobnych wierszy Twardowskiego, lecz przeważnie tylko wydane jeszcze w osobnych broszurach za życia poety. Reszta, a szczególnie wiersze miłosne zaginęły lub spoczywają jeszcze w rękopisach.

Zarzut panegiryzmu, robiony Twardowskiemu przez Jul. Bartoszewicza, Rycharskiego i innych historyków literatury, a mianowicie przez Chlebowskiego, jest nieuzasadniony i polega po części na niedokładnem czytaniu jego utworów, po części zaś na zapoznaniu stosunków polskich XVII wieku. Twardowski napisał, jak prawie każdy ze starszych naszych poetów, a nawet J. Kochanowski, sporą liczbę wierszy pochwalnych, lecz sławiąc prawie tylko ludzi zasłużonych, a przynajmniej poważanych w bardzo szerokich kołach i trzymając się zawsze w granicach prawdy, na nazwę pochlebcy nie zasługuje.

Niesłusznem jest także twierdzenie, jakoby poeta w wierszu „Omen Królowi szwedzkiemu“ dopuścił się zdrady Ojczyzny, jak zarzuca mu mianowicie Braun. Utwór ten, pisany prawdopodobnie na życzenie Kr. Opalińskiego, jest raczej tylko odzwierciedleniem przewrotnych zasad politycznych szlachty XVII wieku. Jak większa część ówczesnej szlachty, widział Twardowski w Karolu Gustawie nie najeźdźcę, lecz wybawcę z trudnego położenia, elekta, który jednakże, jak niegdyś Zygmunt III, przemocą musiał sobie dopiero zdobyć koronę. Nie schlebia mu też bynajmniej, lecz żąda usługi za usługę i stawia mu swoje warunki, przypominające „Pacta conventa“, które przedkładano wstępującym na tron królom polskim.

Przekład 4 ód Sarbiewskiego i 3 Horacego nie powstał — jak twierdzi Chlebowski, przed rokiem 1627, lecz jak dowodzi przeróbka ody „*Quem tu Melpomene*“ najwcześniej w roku 1633-cim; przekład zaś od Sarbiewskiego „O potrzebie wyjarzmienia wschodniego państwa“ wskazuje na to, że Twardowski dokonał go w czasie, kiedy Władysław IV marzył o wypędzeniu Turków z Europy, a w każdym razie pomiędzy rokiem 1633 a 1648. W tym samym czasie powstały zresztą wszystkie inne drobne wiersze Twardowskiego.

Wskazawszy dalej na ważność badania źródeł, z których czerpali poeci, i wzorów, na których się kształcili, wykazał dr. Czechowski na podstawie przytoczonych przykładów, że Twardowski korzystał nietylko z uznanych powszechnie w Polsce wzorów, utworów Horacego, Wergiliusza i J. Kochanowskiego, lecz także z „Jerozolimy wyzwolonej“ Tassa w przykładzie P. Kochanowskiego, i widać w drobnych jego wierszach również pewien — choć nieznaczący wpływ Sarbiewskiego.

Twierdzenie Chlebowskiego, że Twardowski wypisywał sam z swoich własnych utworów, prostuje autor, stwierdzając, że przytoczone przez Chlebowskiego cytaty są fałszywe, a przytem parafrazą ustępu z „Pamiątki J. B. Tęczyńskiemu“ J. Kochanowskiego, i że wogóle powtarzające się u Twardowskiego zwroty nie są oryginalne, lecz bezwiednem prawdopodobnie przypomnieniem podobnych ustępów z dawniejszej lektury.

Ogółem wziąwszy nie przedstawiają, zdaniem dr. Czechowskiego, utwory zawarte w „Miscellaneis selectis“ pod względem poetyckim wiele godnego uwagi. Niektóre z nich są względnie nie złe, ale żaden jako całość nie posiada prawdziwych zalet artystycznych. Najsłabsze zaś są wiersze jego liryczne, i dla tego twierdzenie Chlebowskiego, że Twardowski stałby się niezłym poetą, gdyby naśladując Horacego, wstąpił w Kochanowskiego ślady, jest nieuzasadnione. Twardowski nie był lirykiem. Subjektywizm poetów lirycznych, który każe im stawić swą własną osobę w pośrodek całego świata, odnosić wszystko, co się około nich dzieje, co ich dotyka rozkosznie lub boleśnie, do swego własnego „ja“ był naturze jego zupełnie obcy.

Właściwem polem jego twórczości poetyckiej była poezya epiczna, lub raczej historyczno-opisowa, i tam stworzył niejedno godne uznania i pamięci, i przyczynił się znacznie do rozwoju epiki w wieku XVII. Twierdzenie Mecherzyńskiego jednakże w studyum o „Wojnie Chocimskiej“ Potockiego (Bibl. Warsz. 1861 I. 2/3.), jakoby Twardowski był najzdolniejszym epikiem polskim przed Woroniczem, jest przesadą i wymaga sprostowania. *— ski.*

Ludwik Straszewicz: Fantazye. Petersburg — u K. Grendyszyńskiego, 1895, str. 122.

Pogrążony w reflesyach własnych, autor szkicuje w tych „Fantazyach“ swoje idee i uczucia, które mu życie i zastanowienie nad niem nasunęło do głowy i do serca. Zwątpienie zakradło się do piersi i tam rozkładową zaczęło robotę („W ogrodzie oliwnym“). Wkrótce jednak widok odradzającego się świata, widok pracującej i wiecznie młodej ludzkości odwraca od samolubnej obojętności i zapatrzenia się w siebie myśl i wprowadza ją na wyżynę, zkąd szeroki zewsząd roztacza się horyzont. „Gawęda nocna“ w formie dyalogu, pomiędzy dwoma domkami pod filarkami i z facyatką, maluje dobitnemi rysy charakterystykę tej doby, którą przetrwały, dopóki ich postęp miasta z widowni ulicy Marszałkowskiej nie usunął. „Na pustyni boleje nad upadkiem wybranego ludu Mojżesz — starzec już i blizki grobu; martwi go apatya młodych, martwią różne złe objawy życia wśród Izraela, aż dopiero w końcu przychodzi pocieszenie i Mojżesz błogosławi Jozuego. Czy pisząc „Fragment“, czy odtwarzając legendy: „G. † M. † B.“ i „Półpoście“, czy „Nieprzejednanych“ — autor wie, że do celu dochodzi się tylko „Za sprawą miłości“ — i to uczucie, nieraz boleśnie dotknięte, odzywa się we wszystkich „Fantazyach“ p. L. Straszewicza, który położył na czele swej książki zdanie pani de Stael: „Il n'y a rien de réel du monde qu'aimer.“

* * *

Klemens Junosza: Czarnebłoto (Pająki wiejskie). Warszawa 1895, str. 393.

Niewyczerpaną skarbnicę przepysznych typów wydobywa Klemens Junosza z życia prowincyonalnego, w którem obserwuje działanie różnych czynników, przeważnie zaś odmalowywa z nieporównywaną charakterystyką nieinteligentny tłum żydowski, zaludniający małe nasze miasteczka. „Czarnebłoto,“ to nazwa takiego żydowskiego miasteczka, które na okolicę całą zarzuciło sieci i rade łowić jak najwięcej ryb. Obywatele tego miasteczka pilną uwagę zogniskowali przeważnie na włościan, ale nie darowali również ziemianom bogatszym. Ze szczegółową, sumienną, a trafną bardzo znajomością tego świata, zabrał się autor do lokalnych studyów, i powieści jego, jakie na tle tych studyów osnuł, są niezrównanemi w odtwarzaniu zarówno pojedyńczych postaci, jak i całości obrazu. Wysoce utalentowanego autora nie opuszcza nigdy przytem wyborny, szczery humor, który opowiadanie każde urozmaica; werwa, temperament pióra, szlachetna dążność i głębsza myśl — oto przymioty utworów Junoszy. Nic też dziwnego, że pisarz ten jest taki popularny, że go zwłaszcza na wsi najchętniej czytają, bo przypomina często wrażenia i uczucia, jakim czytelnik we własnem otoczeniu ulega. „Czarnebłoto“, po mistrzowsku przez Junoszę oddane, według najwierniejszego z natury rysunku, przesuwa przed naszemi oczami szkice prowincyonalnego miasteczka i okolicy z artyzmem i prawdą. Typy to portretowane z nieporównaną plastyką, pełne zacięcia, do oryginałów podobne, a takie malownicze, iż wyglądają na kartach powieści. jakby wyszły z pod pędzla. Szczegóły opowiadania, treść oraz wykonanie całości są pod każdym względem zasługujące na jak najżyczliwszą ocenę i jak najszersze powodzenie.

* * *

Księga przysłów. Świeżo wyszło w Warszawie olbrzymie dzieło (wielka 8-ka o 800 str.) p. Samuela Adalberga pt.: „Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich“, wydane nakładem Kasy Mianowskiego, a wydrukowane u p. Skiwskiego. Praca ta, z całym przepychem wydana śmiało znaleść się może obok najwspanialszych wydawnictw akademickich Europy. Autor „Księgi“ — to młody jeszcze człowiek, odbywający studya, a raczej kończący je w Berlinie. Jego dzieło to owoc 11-letniej pracy iście benedyktyńskiej. Poświęcona pamięci Oskara Kolberga „Księga“, rozpoczyna się od przedmowy p. Adalberga (18 str.), po której idą „źródła“ ze wskazaniem w porządku alfabetycznym, książek i rękopisów, w dziele cytowanych, wreszcie następuje właściwa praca: zbiór przysłów, wyrazami alfabetycznie ułożony. System alfebetyczny niezmiernie ułatwia poszukiwania. Kto np. chce sprawdzić, jakie przysłowia „mądrość narodu“ wytworzyła w ciągu wieków — czy to o „Filipie“, czy o „niedzieli“, „ręce“ itd. — pod właściwemi wyrazami znajdzie ich całe szeregi, zestawione umiejętnie i poparte cytatami. Poszukiwania ułatwia obszerny, bo przeszło sto stronnic zawierający „skorowidz“. Tyle o dziele i autorze — w tej pierwszej wzmiance bibliograficzno-dziennikarskiej. Co do nakładcy — jest nim Kasa Mianowskiego, która wydawnictwem niniejszem jak najchlubniej pożyteczną działalność swoją zadokumentowała. Estetyczny wygląd tego olbrzyma, staranna korekta i czystość druku składają się na wytworną całość, za którą drukarni p. Skiwskiego słuszna należy się pochwała. Cena dzieła: 3 ruble na rzecz Kasy Mianowskiego, jako zwrot poniesionego nakładu.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i po'ityczne. Wniosek stronnictwa konserwatywnego w sejmie pruskim o wykluczenie Polaków od nabywania włości rentowych wywołał gorącą dyskusyę. Z Polaków przemawiali energicznie przeciw potwornej propozycyi, dla której rząd objawił wyraźne sympatye pp. radzcy Motty, Czarliński i radzca dr. Mizerski. — Z Warszawy donoszą, że dozwolonem zostało przyjmowenie depesz w języku polskim na wszystkich bez wyjątku stacyach. — Japończycy odnoszą w dalszym ciągu świetne zwycięstwa nad Chińczykami. W kołach wojskowych Europy wywołuje powszechne zdziwienie znakomite kierownictwo. precyzya ruchów i bitność armii japońskiej. — Komisya porządkowa parlamentu niemieckiego odrzuciła wszystkie wnioski marszałka Lewetzowa o powiększenie władzy marszałka i zmianę porządku obrad.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie poznańskiej czteroktową komedyę Bałuckiego p. t. Krewniacy. Główne role spoczywały w rękach pani Skirmuntowej, Królikowskiej i Wróblewskiej oraz pp. Jakubowskiego, Sosnowskiego, Trapszy i Rapackiego. Wesoły utwór odegrano bez zarzutu, a na wyszczególnienie zasługują pani Skirmuntowa, oraz pp. Jakubowski, Trapszo i Rapacki, który dowiódł znowu prawdziwego talentu do ról charakterystycznych o lekkim humorystycznym zakroju, — W czwartek ukaże się na scenie poznańskiej czteroaktowy dramat Władysława Rabskiego, redaktora pisma naszego p. t. „Zwyciężony“, Utwór ten osnuty jest na walkach politycznych, wstrząsających Księtwem poznańskiem i porusza działalność komisyi kolonizacyjnej. Główne role spoczywają w rękach czwartkowego beneficyanta, utalentowanego artysty p. Sosnowskiego, panny Zimajer i panny Wróblewskiej. Sztukę tę wystawią również sceny galicyjskie. — W Berlinie z powodzeniem wystąpił warszawski pianista p. Melcer, biorąc udział w koncercie pani Niklas Kempen. — Paryzki teatr „Oeuvre“ wystawił dramat indyjski z XVI wieku przed Chr. przypisywany królowi Sudraka p. t. „Chariot de terre cuite“ (Wózek z terakoty), poprzedzony odczytem p. Wyzewy, znanego literata francuzkiego. — W Lublinie wystawi w przyszłym tygodniu Towarzystwo dramatyczne p. Józefowicza wesołą krotochwilę p. Feliksa Kwaśniewskiego p. t. „Papa papy“. — Warszawski Teatr rozmaitości wznowi niebawem komedyę Lubowskiego p. t. „Jacuś“. — Goszczące obecnie w Kielcach Towarzystwo artystów dramatycznych pod dyrekcyą p. St. Staszewskiego, d. 2 bm. odegrało pierwszy raz komydyę w 4 aktach p. t. „Kolejarze“, oryginalnie napisaną przez pp. H. Michalskiego i S. Łąpińskiego. Wykonanie było wogóle bardzo poprawne. Obecnych na przedstawieniu autorów licznie zebrana publiczność trzykrotnie wywołała. — Sudermanowska „Walka motyli“ ukaże się w teatrze lwowskim 11 b. m. Zaraz po „Walce motyli“ wystawi dyrekcya najnowszą komedyę Bałuckiego p. t. „Ciepła wdówka“ — W dniu 18 lutego br. urządza poznański „Sokół“ koncert na budowę sali gimnastycznej. W koncercie wezmą udział artyści teatru poznańskiego i krakowskiego, oraz własna kapela „Sokoła“. Przedstawienie odbędzie się na sali Lamberta. — Poznańskie „Koło śpiewackie polskie“ urządza 14 b. m. doroczny koncert zimowy na sali Lamberta. Program obejmuje wyłącznie utwory Moniuszki: Halkę, Flisa i Hrabinę.

Warszawski tygodnik „Prawda“ drukuje w odcinku piękny poemat dramatyczny p. t. „Duchy“. Utwór ten wyszedł z pod pióra redaktora „Prawdy“ Aleksandra Świętochowskiego. Po wielce obiecującym wstępie, zdającym się zapowiadać wspaniały ogólnoludzki poemat filozoficzno-społeczny, w pierwszej części autor roztacza przed nami nakreślone z artyzmem niezwykłym ciekawe obrazy z życia hordy pierwotnej. Po za wybitnym poetą i stylistą wytwornym, wychyla się z kartek tego poematu poważne oblicze uczonego badacza zamierzchłych dziejów ludzkości.

Zmarli:

Dr. Kutschera, członek sejmu czeskiego i przywódzca Młodoczechów, zm. 17 stycznia w Pradze.

Edward Thiele, kapelmistrz i kompozytor, autor pieśni „Deutschland. Deutschland über alles“ zm. w Dessa w miesiącu styczniu.

Bejamin Godart, kompozytor francuzki, autor symfonii „Tasso“ zm. w Cannes w miesiącu styczniu.

BIBLIOGRAFJA.

Agi-Wdaj. Dawna powieść. Kraków. Nakładem Druk. związkowej. G. Gebethner i Sp. 1895. Cena 3 m.

Bełza Stan. Na Lagunach. Warszawa. Gebethner i Wollf. 1895. Cena 5 m.

Estreicher Stan. dr. Studya nad historyą kontraktu kupna w prawie niemieckiem epoki frankońskiej I. Kraków. Nakładem autora. G. Gebethnera i Sp. 1894. Cena 2 m.

Milkuszyc Marya. Przemysłowcy, powieść. Warszawa. Nakł. G. Centnerszwera 1894. Cena 3 m.

Łopuszański Tadeusz. Pamiętnik c. k. Towarzystwa gospodarskiego 1845—1894, z aktów urzędowych. Lwów. Nakład Towarzystwa, Gubrynowicz i Schmidt. 1894. Cena 3,60 m.

Hajota. Ich syn, powieść współczesna. Tom I i II. Warszawa. Nakład Towarz. Paprockiego i Sp. 1895. Cena 2 rs.

Kozłowski W. M. Życie rośliny. Warszawa. Druk. J. Sikorskiego 1894. (Z rycinami w tekście). Cena 80 kop.

Łoziński Br. Prawo zwierząt. (Odbitka z Przewodnika nauk. i liter.). Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895. Cena 1 złr.

Mickiewicz W. Żywot Adama Mickiewicza, podług zebranych przez siebie materyałów, oraz z własnych wspomnień. Tom IV. Druk „Dziennika Pozn.“ Cena 6 m.

Odpowiedzi Redakcyi.

D. Patent dojrzałości, uzyskany w wyższym zakładzie naukowym panien Danysz w Poznaniu, uprawnia panią do wstąpienia na którykolwiek z uniwersytetów szwajcarskich i do starania się o dyplom doktorski. Gdyby pani jednak miała zamiar składać egzamin państwowy z medycyny, należałoby się poddać egzaminowi dojrzałości w gimnazyum męzkiem.

Cz. Zamieściliśmy. Prosimy o więcej tłomaczeń z dziedziny belletrystyki.

Sprostowanie.

Do Nr. 4 i 5 zakradło się kilka omyłek, które niniejszem prostujemy: W artykule „Poeta Nirwany“ (Nr. 4) czytać należy na str. 42, łam 1, wiersz 9 od dołu zamiast „urody“ — „nudy“, na str. 43, w przedostatnim ustępie, w zdaniu początkowem braknie słów „znajduje“ (się konający) oraz „który jest“ (poeta i t. d.). W tym samym ustępie czytać należy zamiast „wyrobienia“ — „zwyrodnienia“. W nr. 5 na samym wstępie w rubryce „Treść“ czytać należy zamiast „politque“ — „politique“, zamiast „Szkicce antipologiczne“ — „Szkice antropologiczne“, zamiast „psendonaukowa“ — „pseudonaukowa“. W artykule zaś p. t.: „La politique royale“ (nr. 5.) str. 1. łam 3, wiersz 15 od dołu czytać należy zamiast „potęgę“ — „postęp“, w łamie 2 wiersz 26 od dołu opuszczono przed wyrazem „kościoła“ wyraz „hirarchii“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.